Nr. 35. Poznań, Niedziela 1. września 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi w Poznaniu 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), w Niemczech i Austryi 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

Gaszenie ducha.

Jeżeli prawdą jest, że hasło „budzenia ducha“ zrodziło histeryą polityczną w narodzie polskim i odwróciwszy uwagę od realnych potrzeb społeczeństwa, wprawiło nas w stan odurzenia i nadczułości, — jeżeli prawdą jest, że zapatrzeni i zasłuchani w blaski i hałasy rakiet politycznych, odwykliśmy zupełnie od subtelnej i logicznej analizy społecznej, schylając głowy przed bóstwem frazesu, — to nie mniej pewnikiem się staje, że odwrotne hasło „gaszenia ducha“ poczęliśmy stósować nie z ostrożnością lekarza operującego niebezpiecznem antidotum, lecz z szalonem przestrachem człowieka zajętego płomieniem, który w ucieczce przed palącym żywiołem rzuca się w lodowy przerębel i ginie. My jesteśmy nietylko „narodem pozorów“, ale i narodem kontrastów. Odwrót nasz nie jest prawie nigdy spokojnem cofaniem, lecz zawsze nieomal dziką ucieczką, — z ekstremu w ekstrem, z jednej ostateczności w drugą.

Dzieje naszej dyplomacyi berlińskiej stały się charakterystycznym przykładem tego rysu narodowego, a polityka prowincyonalna z ostatnich lat kilku wspina się na palce, by dorość wysokości parlamentarnych przedstawicieli swoich, i tworzy nową edycyę — Scylli i Charybdy. Niema dziś pewnie w społeczeństwie poznańskiem człowieka, któryby zasadniczo budował ołtarze dla tkliwego sentymentalizmu i z dzwoneczkami pląsając po kraju w brzęku narodowym upatrywał jutro ojczyzny, ale z ziemi wyrastają codziennie nowi ludzie, którzy w imię *wykrzywionych* haseł „pracy organicznej“ każdą żywszą manifestacyą uczuć narodowych, każdy apel do wyobraźni tłumów, każde drgnienie patryozyzmu zbiorowego witają śmiechem szyderczym. Czegoż to dzisiaj nie ochrzcono Donkiszoteryą polityczną?! Msza uroczysta na cześć bohatera Racławic, mundur gimnastycznego towarzystwa „Sokół“, zbieranie funduszu Kościuszkowskiego, praca nad rozbudzeniem samowiedzy narodowej na Szląsku, wycieczki ziomków naszych na wystawę poznańską, — wszystko to zyskuje miano czczej demonstracyi, samogwałtu narodowego lub niezdrowego szowinizmu.

W tym samym celu starano się usilnie ośmieszyć każde zebranie polityczne, pozbawione charakteru lojalnych umizgów, w tym samym celu zalecono nam oddać się na łaskę i niełaskę Kościoła i zmienić się w mgnieniu oka z narodu Polaków w międzynarodowe społeczeństwo „katolików po polsku mówiących“, — w tym samym wreszcie celu urągano w najświeższym czasie przybyszom galicyjskim i szląskim, starając się zepsuć harmonią rozdzielonych cząstek ojczyzny i kres położyć raz na zawsze objawom narodowego braterstwa. Nie całe społeczeństwo i nie większość jego zaprzęgła się do tej wstrętnej roboty, ale pewien odłam prasy z gronem służalców swoich i bezwzględnych wielbicieli ugodowego cielca, pewne grono bezkrytycznych Janczarów, klęczących przed tronem dostojnych „powag“ nowego autoramentu, pewien zastęp zjadaczy chleba, lękających się własnego cienia i nie odczuwających żadnych potrzeb krom Imperatywu żołądka i ambitnej spekulacyi, podjął się zrywania braterskich węzłów narodowych, aby zaświadczyć przed Berlinem, że *Polska* pogrzebana, a żyje tylko poznańska prowincya pruskiej monarchii. Czego nie odważono się wyśpiewać w „Kuryerze Poznańskim“, śpiewano w „Czasie“ krakowskim, — czego nie zdołano w Księstwie wprawić w ruch skuteczny, puszczano w obieg na bytomskim bruku. Nie darowano Galicyi, nie darowano przedstawicielom Szląska i pod adresem Warmiaków i Kaszubów wysłano wyraźną przestrogę, by do drzwi naszych nie ośmielili się pukać.

Współpracownik nasz szląski charakteryzuje w korespondencyi dzisiejszej intrygi bytomskiego „Katolika“ dla sparaliżowania górnoszląskiej wizyty w grodzie Przemysława, a gdy dzięki niestrudzonej działalności redaktora „Gazety Opolskiej“ lud odrodzony, mimo żelaznej ręki bytomskich możnowładzców. wyciągnął dłonie ku starej ojczyźnie i uściskiem swoim stwierdzić zapragnął, że on nie *„Szlązak“* jedynie i nie *„katolik“* wyłącznie, lecz *„Polak“*, wtedy tu na miejscu wyszedł cichy rozkaz z kuźni lojalizmu, by czynem przypieczętować zasadę, że Poznań w Górnym Szląsku brata nie uznaje.

Rozkaz ten nie minął bez echa. Pustką nie otoczył on wprawdzie górnoszląskiej drużyny, ale z szeregów gospodarzy domu wypłoszył sporo wyższej inteligencyi, szlachty i całe bez wyjątku duchowieństwo. Lud witał się z ludem, — brać starsza stała na uboczu lub fabrykowała w „Kuryerze“ gromy na przybyszów.

Nieobecność kleru w uroczystych pierwocinach narodowego przymierza nie zdziwiłaby nas bynajmniej, gdyby w tem absentyzmie politycznym była jednolitość i sprawiedliwość, — gdyby, jak za rządów ks. kardynała Ledóchowskiego, duchowieństwo pożegnało się istotnie z całem życiem publicznem, nie popierało żadnego kierunku i służbie bożej wyłącznie poświęciło swój czas i pracę. Ale zaprotestować musimy stanowczo przeciw takiej nieobecności, która sama w sobie jest manifestacyą polityczną, — zaprotestować musimy przeciw temu „Sic volo, sic iubeo“, które duchowieństwu zaleca stawać wyłącznie na szańcach dyplomacyi ugodowej, tu wspierać powagą swoją interesy jednej koteryi, tu w charakterze namaszczonych, władzą klątwy i błogosławieństwa wyposażonych apostołów ratować przed bankructwem akcye lojalizmu. Albo władza zaleca duchowieństwu zupełny absentyzm polityczny, — albo pozostawia mu swobodę służenia temu kierunkowi, który ideom poszczególnych jednostek odpowiada. Innego *„aut-aut“* uznać nie możemy, bo przymusowe uniformowanie kleru według jednej barwy politycznej jest teroryzmem gwałcącym wolność sumienia i szkodliwem dla sprawy publicznej. W chwilach górnoszląskiej wizyty jednak taka stronnicza komenda zabrzmieć musiała w osłonie tajemnicy urzędowej, bo nikt chyba nie przypuści, że cały stan duchowny wyznaje tylko jeden kanon polityczny, bo wiemy dobrze, ilu gorących przyjaciół emancypacyi Górnego Szląska znajduje się w szeregach kleru naszego, a przecież nikt z kapłanów katolickich nie pozdrowił odrodzonych braci, nikt im ręki uścisnąć nie raczył, nikt z nimi nawet, mimo próśb i starań, nie odmówił krótkiej modlitwy na powitanie. Miałażby to być poprawna edycya słynnego interwiewu z redaktorem „Börsen-Courier'a“?

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej zaboru pruskiego

Wychodząca w Toruniu „Gazeta Codzienna“ i „Gazeta Gdańska“ zamieściły następującą odezwę:

„Zamierza się corocznie w czasie wielkich wakacyi urządzać zjazdy akademików Polaków z Prus Zachodnich. Panowie akademicy oraz i starsi panowie, przyklaskujący tej myśli, zechcą łaskawie swój adres podać do redakcyi „Gazety Codziennej“ albo do redakcyi „Gazety Gdańskiej“.

Wobec pogłosek, że w kilku miejscowościach Polacy zamierzają wziąć udział w uroczystym obchodzie 25-tej rocznicy zwycięztwa sedańskiego, takie wypowiada opinie w nr. 100 „Gazeta Grudziądzka“:

„Jasnem to jak na dłoni, że nie wolno Polakom w sedańskich festynach brać udziału i to ani pojedyń-

czym osobom, ani towarzystwom polskim, jakibądź takowe mają charakter i chociażby je jak najuprzejmiej zaproszono.

Tego wymaga poczucie własnej godności, poczucie obowiązku względem srodze pokrzywdzonej sprawy narodowej. Nie wolno nam łączyć się z Niemcami w objawach radości, gdy oni użyli sił naszych, krwi i kości polskich, dla wykończenia gmachu swej potęgi, a następnie wypowiedzieli zagładę najdroższym naszym skarbom narodowym, a właśnie w ostatnich czasach nienawiść swą do Polaków w najzagorzalszy okazują sposób.

—

W sprawie sprzedaży Bielaw Komisyi kolonizacyjnej znajdujemy następujące uwagi w numerze 195 „Gońca Wielkop.“:

„W tym samym czasie, kiedy p. Wł. Paruszewski przemyśliwał nad sławnem „coup“, który mu kosztem wspomnień po ś. p. Ignacym Łyskowskim i kosztem dobrej sławy spadkobierców jego miało przynieść 30 tysięcy grzywien zarobku, w tym samym czasie, na cztery dni przed sprzedażą Mileszew, zaprzedali dnia 22-go lipca 1895-go roku panowie bracia Szymańscy — Bielawy.

Wieś ta, położona o ćwierć mili od Janówca, stacyi kolei żelaznej na Pałukach, należąca do parafii Łopienna, liczy 385,93 hektarów, czyli około 1600 mórg, a tak jak na wszystkie polskie majątki na Pałukach i Kujawach komisya kolonizacyjna systematycznie poluje, chcąc klinem przebić się do Gopła i rozdzielić Prusy od Księstwa, tak też i na Bielawy ostrzyła ona sobie zęby, pamiętna na zasadę: „divide et impera!“

Jako właściciel Bielaw zapisany jest p. Teofil Szymański; ma on brata — obaj są bezdzietni, a choć nie pierwszej są młodości, to jednak mogliby dalej pracować na ojczystej glebie, zwłaszcza że byli oszczędni, a wieś przynosiła piękne dochody. Taksa landszaftowa z roku 1872-go wynosiła 213,000 m, z których połowa jako dług była zahipotekowaną. W r. 1888 konwertował p. Teofil Szymański 12,900 talarów na 3 i pół procentową pożyczkę, a dziś po 7 latach sprzedaje wieś za nizką stosunkowo cenę komisyi kolonizacyjnej.

Można sobie wyobrazić, z jaką przyjemnością pan Wittenburg podpisywał odnośne akta i papiery, jak mile musiało mu być w duszy, jeżeli myślał, że w krótkim czasie także Mileszewy zdobędzie.

Panowie Szymańscy tak zgrabnie do sprzedaży się zabrali, że nikt nie wiedział o ich czynie, a skurczywszy Ojczyznę, przenieśli się do Poznania, gdzie w miłem dolce farniente przeżuwają sławę patryotycznego czynu swego.

Jeżeli prawda jest, że chwalili się kiedyś z tego, iż z czasem przekażą Bielawy na Pomoc Naukową Marcinkowskiego, jeżeli wierzyć można pogłoskom, że w sprzecznem urągowisku dla idei nieśmiertelnego Karola panowie eksdziedzice zaspakajają potrzeby swe u poznańskich żydów, natenczas nie pozostaje nam nic więcej, jak napiętnować ten nowy dowód całkowitego braku poczucia obywatelskiego.

Oto wychowańcy szkoły utylitaryzmu!

Niech im Bóg nie pamięta krzywdy, jaką wyrządzili ludowi polskiemu.“

—

W artykule p. t „Rozpusta w patryotyzmie“ głosi „Orędownik“ (nr. 196) następujące Memento pod adresem społeczeństwa poznańskiego:

„Przez lat 25 przeszło denerwowała, galwanizowała i demoralizowała szlachta przez „Dziennik Pozn.“ całe społeczeństwo; w ostatnich latach nawet „Kuryer Pozn.“, dawniej iście konserwatywny, chwycił się oburącz tej roboty demoralizującej. I jeszcze nie było nietylko naprawy, ale nawet rozumienia. Czyż to propagowanie i wysławianie polityki partyi dworskiej, tego nowego kursu toruńskiego, nie było bezmyślnem i lekkomyślnem tańcowaniem około — złotego cielca!

Trzeba było takiego palca Bożego, jaki nas dotknął przez Mileszewy, aby ludzi do przytomności doprowadzić.

Nietylko usiłowania i praca starego pokolenia idzie — z względu na cel ratowania podstaw narodowości — prawie cała na marne, ale i młodsze pokolenie, już w życiu występujące albo do życia się zabierające, jest przez wpływy organów szlacheckich i naszej dominującej opinii publicznej, — przez tę „berbeluchę“, jak się korespondent „Dziennika Pozn.“ z Prus Zach. wyraża, z gruntu zdemoralizowane i niezdolne swoim własnym obowiązkom zadość uczynić, a cóż dopiero błędy stare naprawić.

Ta demoralizacya ogarnęła także prawie wszystkie szychty naszego mięnniejszego mieszczaństwa tak w Poznaniu jak na prowincyi. W Poznaniu na tle tych właśnie szycht pojawia się jedna czarna plama po drugiej. Obecnie są w tych kołach stosunki tak smutne, tak schorzałe, tak duszne i tak zgniłe, że chyba te szychty staną się ciężarem społeczeństwa, ale podporą „skołatanej Ojczyzny“ nie będą. Karmiły się i karmią po dziś dzień — „berbeluchą“ i z powodu niej marnieją.

Że tak w tej warstwie, jak w warstwie szlachty zachodzą zacne wyjątki, to niewątpliwa, ale tych wyjątków jest za mało, żeby mogły społeczeństwem — nawrócić na miejscu.

Pali się u nas na wszystkich punktach, — pali się głównie z naszej winy — mamy polityków, którzy jeszcze znoszą do tego ognia smolne drzewo — w dobrej wierze, i palić się będzie, aż się nie wypali do fundamentów.

Jedyny ratunek polegałby na tem, żeby jeszcze te warstwy, których demoralizacya długoletnia i systematyczna nie zdołała dosięgnąć i zatruć, ocalić przed tym pożarem i zabezpieczyć przed wpływami demoralizującemi, ażeby z tych warstw wychowało się pokolenie zdrowsze na ciele i duszy, pokolenie pracy i obowiązku, a nie bezmyślna gromada, żująca frazesy i ginąca wśród mówek i toastów.

Mileszewy — ten palec Boży — powinien przynajmniej prasę naszą pobudzić do pracy w tym kierunku; materyału do rozwagi podają one aż nadto.“

—

Walka wyborcza w pszczyńsko-rybnickim okręgu na Górnym Szląsku wre bezustannie w pismach niemieckich i polskich. Dzienniki służące idei germanizacyjnej wysuwają oczywiście znowu przeciw kandydatom naszym sukienkę duchowną i powtarzają ulubiony frazes, że ten tylko prawym katolikiem nazywać się może, kto służy ślepo stronnictwu centrum, jego pismom, komitetom i kandydatom. Sprawie tej poświęca „Katolik“ bytomski następujące uwagi:

„Przykro się robi, gdy się widzi, jakich sztuk używa „Kuryer“ górnoszląski, aby pp. Huenego i Latacza obrać posłami. Przewodniczący komitetu, Przew. ks, dziekan Philipi, otrzymał z powodu wyborów niegrzeczne listy bezimienne. Kto takie listy pisze, postępuje bardzo brzydko i zasługuje na naganę. W tym punkcie „Kuryer“ ma słuszność.

Lecz nie ma słuszności, skoro z powodu kilku listów bezimiennych usiłuje ze sprawy wyborów zrobić sprawę „miłości, wierności zaufania ludu do duchowieństwa“ i gdy głosi, jeżeli wyborcy chcą okazać miłość, wierność, ufność do duchowieństwa, powinni wybrać pp. Huenego i Latacza na posłów. Ani duchowieństwu, ani ks. Philippiemu nie zaprzecza nikt wielkich zasług, ale te zasługi nie mają styczności z osobami pp. Huenego i Latacza. Swoją drogą zasługi, a swoją kandydaci. Uważamy za rzecz niesłuszną i niepolityczną, gdy „Kuryer“ z miłości wierności ludu do księży chce uczynić drabiny, po których pp. Huene i Latacz do sejmu wniść mają. Jest to nadużywaniem stanowiska księży w tym celu, aby kandydatom Mikołowskim mandaty zapewnić. Nie ulega wątpliwości, że księża obu powiatów w większości z pewnością nie upoważnili „Kuryera“ do tego, ażeby miłości, jakiej u ludu zażywają, używał do wygładzania drogi pp. Huenemu i Lataczowi.

„Kuryer“ stara się przedstawić rzecz tak, jakoby ten, kto pp Huenego i Latacza nie chce, od księży się odrywał. To nieprawda, bo wyborcy nietylko od duchowieństwa się nie odrywają, ale nawet jednego z księży chcą mieć posłem Na cóż więc „Kuryer“ niepotrzebnie wyborców przed światem w złem świetle przedstawia i żale niesłuszne podnosi? Sprawa jest bardzo prosta: Wyborcy w Pszczyńsko-Rybnickiem kochają księży i mają do nich zaufanie, szczególnie też do Przew. ks. dziekana Philippiego. Lecz domagają się, ażeby przy wyborach zważano na ich życzenie i nie narzucano im niemiłych kandydatów na posłów. Przy wyborach chodzi o osoby kandydatów, nie o duchowieństwo.“

Słowa powyższe powinny również na poznańskim gruncie znaleść echo rozgłośne. Wyzyskiwanie religii w celach politycznych stało się bowiem i u nas ulubioną taktyką „ugodowo-konserwatywnego“ stronnictwa.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Zagrzebski „Obzor“ omawia w artykule wstępnym stosunek wzajemny dwóch stronnictw czeskich i taki o nich sąd wydaje:

„Dziś w Czechach doszli do przekonania Młodo- i Staroczesi, że zgoda w narodzie potrzebna, że rozdział obecny działa szkodliwie. Staroczesi nie mają większości wyborców za sobą, ale mają inteligencyę i to spory jej zastęp. Staroczesi chcą zgody kosztem ustępstw pewnych, ale Młodoczesi żądają, aby się im poddali zupełnie. Chociaż przeciwnikami Młodoczechów nie jesteśmy, to przecież tutaj słuszność po stronie staroczeskiej widzimy.

„Staroczesi atoli popełniają ten błąd, iż Młodoczechów nie dość popierają we walce z namiestnikiem hr. Thunem. Rządzą się oni względami politycznymi wobec arystokracyi czeskiej, z którą nie chcą zrywać zupełnie.

„Niedawno temu przybyli na wystawę do Pragi Morawianie. Zamiast z tej sposobności

---

MARYA KOMORNICKA.

SKRZYWDZENI.

SZKIC DRAMATU W 3 AKTACH.

(Ciąg dalszy.)

WIRSKA.

Wrogiem mówisz — Wandzia?...

WANDA.

Coś takiego.

WIRSKA.

Widocznie obudziłaś w nim współczucie — ja mu zawsze odradzam sprawy rozwodów... To zawsze rzecz niemoralna.

LEON.

Mylisz się, mamo: jako uczciwy adwokat — adwokat członek społeczeństwa — pragnę zawsze bronić sprawiedliwości i swobody. W tym razie nie miałem innych pobudek.

JÓZEF.

Aleś ty podobno był przyjacielem męża pani.

LEON.

Rzeczywiście; lecz gdy mój przyjaciel dopuszcza się gwałtu, staję się wrogiem gwałtu mojego przyjaciela.

WIRSKA.

Lecz stracony Kazio dla ciebie.

LEON.

W każdym razie musiałem go tracić.

LEON (*do Wandy*).

Rozstanie się pani z mężem podniosło ją w mych oczach... Dotąd miałem cię tylko za zręcznego wyzyskiwacza męża, za karyerowiczkę.

WIRSKI.

Ale, ale. Czy wie pani, czytałem w Kuryerze, że Kazio miał znów koncert, złożony przeważnie z pani kompozycyi.

LEON (*do Wandy*).

Lecz nie myśl pani, byś czystą była w mych oczach... ciążą na tobie poważne zarzuty... przynajmniej dla mnie.

(*Wanda z ironią patrzy na niego.*)

LEON (*z dreszczem*).

Co mi pani chce powiedzieć tem drwiącem spojrzeniem?... Czy to, że „tłum“ niegodny jest roztrząsania jej czynów, ani zdolny cię dotknąć?...

WANDA.

Obojętna jestem na jego pociski.

LEON.

Ha! mówisz mi pani aż nazbyt jasno, że ja cię zranić nie mogę.

WANDA (*wzrusza ramionami*).

Ktoby to potrafił?

LEON.

Oburzające zarozumienie daje pani złudzenie, żeś wyższa ponad ludzi

WANDA (*niecierpliwie*).

Jestem po prostu z krwi tylko odmienna. Albo też, wy, nie znając mnie, nie wiecie, co mnie dotknąć może.

LEON.

Radzę pani dać się poznać.

WANDA (*śmieje się*).

Według jakiej doktryny? Skromność mówi: „siedź w kącie“ — a praktyczność „nie odsłaniaj swych słabych stron“. Żyjemy w czasach tak dzikich, że choćby się było przyjacielem ludzi, trzeba się trzymać odpornie, pamiętając, że ani przypuszczalnie są naszymi wrogami. Jako czciciel praktyczności życiowej powinieneś pan zrozumieć, że w odsłonięciu się niema interesu dla mnie.

LEON (*z ironią, dziką radością*).

Te słowa właśnie odkryły mi panią. Zdradziłaś się.

WANDA (*rozbawiona*).

Z czem?

LEON.

Z świadomem graniem komedyi, z świadomem i umyślnem otaczaniem się mgłą tajemniczości.

WANDA (*zdziwiona*).

Więc ja, ja gram komedyą? otaczam się mgłami?... Ja, szczera aż do brutalności?

skorzystać i powitać ich wspólnie, toczy się pomiędzy staroczeskimi a młodoczeskimi pismami polemika, które stronnictwo przysłużyło się więcej do rozbudzenia ducha na Morawii.

„Według naszego mniemania jedno i drugie. Młodoczesi zarzucają swym przeciwnikom, iż zgrzeszyli wobec przeszłości, ci znowu, że partyi młodoczeskiej nie powiodło się Czechów zjednoczyć i dla tego programu pozyskać. Zasługą Staroczechów jest, że w roku 1871 reskryptem cesarskim zostało Czechom przyznane prawo państwowe, na które dziś tak wielką kładzie się w Czechach wagę jest także prawdą, że stronnictwo Riegera i Palackiego obudziła świadomość narodową w ludzie czeskim.

„Nie bez słuszności jednak spotyka Staroczechów zarzut, iż zgrzeszyli wobec Słowiańszczyzny, spuszczając ją z oka. Młodoczesi są lepszymi Słowianami, ale błąd ten ich przeciwnicy dziś już naprawili, a nierzadko przychodzi nam w pismach staroczeskich z trafniejszą oceną naszych stosunków się spotkać aniżeli w pismach młodoczeskich.

„My Chorwaci, jako szczerzy Słowianie, nie możemy potępiać ni jednych ni drugich. Naszem życzeniem jest, aby oba stronnictwa połączyły się jak najwcześniej".

* * *

Młodosłowiński dziennik, wychodzący w Lublanie „Slovenski Narod" pisze o klerykałach słowińskich:

„Nasze stronnictwo katolickie nie postępuje sobie konsekwentnie. „Slovenec", główny organ klerykałów występował z okazyi wieca katolickiego za zgodą wszystkich Słowińców, nie znajduje atoli słów potępienia dla duchowieństwa młodszego w krainie, którego działalność w punkcie narodowym jest demoralizującą.

„„Slovenec" pisał, że duchowieństwo słowińskie musi mieć na oku interes kościoła. Krótko potem połączyli się jego przyjaciele z liberałami niemieckimi w Wiedniu. „Slovenec" liberałów niemieckich kilkakrotnie napiętnował, jako wrogów najniebezpieczniejszych kościoła. Gdy ci liberałowie jednak byli na drodze bankructwa, nasi prawowierni katolicy poszli im w sukurs, a mimo to nazywają się dalej obrońcami wiary. Najwierniejsi sprzymierzeńcy liberałów nie znajdują się wśród nas, lecz wśród obozu klerykalnego. Razem z liberalizmem przejęli nasi klerykalni obronę kapitalizmu.

„Nasze stronnictwo oświadczyło się za powszechnem prawem głosowania, przeciw temu prawu wystąpili klerykałowie wiedeńscy a razem z nimi i nasi.

Z tego, co powiedzieliśmy, wychodzi na jaw dowodnie, na jakich to nogach glinianych spoczywa katolicyzm i demokratyzm naszych klerykałów..."

* * *

Białogrodzki „Widelo", organ stronnictwa postępowego pisze pod adresem pism serbskich wychodzących w Austro-Węgrzech:

„Nie chcemy się narzucać w roli nauczyciela naszym braciom mieszkającym z tamtej strony Sawy i Dunaju, przecież naszym obowiązkiem zwrócić uwagę na stan rzeczy, jaki wśród prasy serbskiej poza granicami Królestwa istnieje.

„Wśród naszych braci powstały stronnictwa rozliczne, a zawiść stronniczą rozdmuchały pisma, naśladujące ślepo pisma zagraniczne, nazywając się radykalnemi, postępowcami, konserwatywnemi itd.

„Znamy stosunki naszej braci, O istnieniu tych stronnictw nie może być mowy. Istnienie ich jest tylko pozorne, istnieją one tylko w prasie. Ponieważ każde pismo skupia obok siebie ludzi inteligentnych, a inteligencya różne jest w swych zapatrywaniach, przeto mogą być różnice pomiędzy nią, nigdy jednak pomiędzy ludem. Mając to w pamięci, nie powinna prasa serbska dzielić się na stronnictwa, lecz powinna być wyrazem ludu serbskiego, w którym niema podziału klasowego, uwidoczniającego takie różnice, jakie istnieją na zachodzie.

„Drugim błędem tejże prasy jest to, iż o sprawach obchodzących królestwo nie piszą ze stanowiska ogólno serbskiego, ale ze stanowiska partyjnego. Tak n. p. Zagrzebski „Srbobron" zaczepia gwałtownie serbską partyą postępową. Jego artykuły znów drukują dzienniki chorwackie, ażeby pokazać co rząd serbski znaczy i tym sposobem szkodzić interesom Serbów austro-węgierskich.

Mogłaby nam serbska zadunajska prasa zarzucić, iż stronnictwa i u nas istnieją. Rzecz to atoli inna; mamy rząd, mamy państwo i niezawisłość polityczną, są one wyższemi instancyami, których nasi bracia nie posiadają i na których opierać się nie mogą.

„Objawem nader smutnym jest i to, że tak często przychodzi nam w pismach serbskich spotykać się z zaczepkami, wymierzonemi przeciw naszej dynastyi. Tym sposobem prasa serbska nie przysłuży się dobrej sprawie. Bądź co bądź historya naszego państwa ściśle jest związana z losami dynastyi, która bohaterskich wydała ludzi.

„Od napaści na dynastyą, krok tylko do napądania całego kraju. Już też często piszą tamtejsze pisma w ten sposób o Serbii i o naszych stosunkach, jakby to były pisma wrogie serbskiemu narodowi.

„Królestwo serbskie powinno być dumą dla wszystkich Serbów, Białogród centrum naszego życia narodowego. Jeżeli prasa serbska nie zaniecha swej zgubnej taktyki, wówczas lud serbski przestanie cenić ten kawałek wolnej ziemi serbskiej, wolność i niezawisłość..." *D. K.*



O „Rodzinie Połanieckich".

(Ciąg dalszy.)

Odtąd zaczyna psuć się z dniem każdym, w każdym calu wygląda z niego człowiek pospolity. Do tej chwili wierzyliśmy na słowo Sienkiewiczowi, że to człowiek pracy, pewnych określonych dążności. Ale trudno wierzyć bez końca. Zaczynamy się pytać: czem jest właściwie Połaniecki, co robi, gdzie rezultaty jego energii, jaki cel ma w życiu? Przesiaduje podobno w biurze, pomaga wspólnikowi swemu Bigielowi w prowadzeniu interesów, wprowadził jakieś ulepszenie w fabrykacyi perkalików — bardzo to ładnie, aleć dziesiątki tysięcy czynią to samo i nie nabierają przez to prawa do patrzenia z góry na świat, do jakiegoś uznania. Połaniecki zaś wciąż uważa się za coś wyższego, a już w Krzemieniu zdradził się przed Marynią, że jeżeli się ożeni, to dla tego, aby miał „kogoś, co go uzna". I on sam siebie wciąż uznaje, w każdem zetknięciu się z ludźmi przebija u niego chęć powiedzenia: oto ja, oto moje dzieła! jam jest lepszy, mądrzejszy od wszystkich! Dla czego? Oto powiększa swój majątek — jest to dobrze, ale dla niego, zresztą na świecie zawsze jedni tracą, a drudzy zyskują. Ale może to powiększenie majątku przyszło z wielkim nakładem pracy lub siły twórczej. Broń Boże! Mają zamknąć granicę dla wywozu zboża, więc Połaniecki wpada na myśl nagłych zakupów i przyjęcia znacznych zamówień z zagranicy. Udaje mu się — a nużby się nie udało? Zresztą na taką myśl wpadli prawdopodobnie i inni handlarze zbożem, nie wyłączając nawet żydków małomiasteczkowych. Udało się im, udało się i jemu — ale komu tu wić wieniec zasługi, z czego się pysznić przed sobą i światem. Ot, poszczęściło się i koniec! Tylko dorobkiewicz zadziera nos

---

LEON.

Powiedziałaś to pani sama. Zresztą szczerość pani jest tylko wybornym sposobem zgęszczenia mgły.

WANDA.

Być może, bo tak nawykliście czytać między wierszami, że gdy się zdarzy napisać prawdę wcieloną, omijacie ją dla domysłów.

LEON (*szyderczo*).

Więc pani jest świadomą tego sposobu!

WANDA (*śmieje się*).

A pan go odkryłeś, postępuj więc odpowiednio.

LEON.

Jeżeli się pomyliłem, wytłomacz mi pani swe słowa.

WANDA.

Wiedzże, sędzio surowy, że między ukrywaniem tego, co boli, a graniem komedyi jest gruba różnica. Włóż pan okulary, kiedy nie widzisz.

LEON.

Jesteś pani tak dziwną... nie dziw się więc mym zabawnym może w twych oczach sądom.

WANDA.

Tak, tak, wiem o tem, jestem dla was cielęciem o dwu głowach, więc przypuszczacie, że druga jest przyprawną. Nie możecie pojąć, że można być odmiennym... choć i to kwestya, czy wiecie czem jesteście.

LEON.

W każdym razie my, cielęta o jednej głowie stanowimy normalność.

WANDA.

Czyż zaprzeczyłam temu kiedykolwiek?

LEON.

Nie, lecz ze swej anormalności jesteś pani dumną, a tem co normalne, gardzisz.

WANDA.

Wytłomacz to sobie pan tem, że większość waryatów ma manią wielkości.

LEON.

Zbywasz mnie. Uważasz za niegodnego rozmowy z tobą.

WANDA.

Ależ powinnam być wdzięczną za zaszczyt uczyniony mi przez jednego z quasi — normalnych.

LEON.

Dla czego „quasi?"

WANDA.

Bo od zupełnie normalnych różnisz się pan choćby tem, że pragniesz stać się im potrzebnym.

LEON.

Zgadłaś pani; lecz to pragnienie we mnie jest racyonalnem... powiedz mi jednak, co stanowi różnicę między panią a nami?...

WIRSKA.

Może się przejdziemy?

WSZYSCY (*prócz Leona i Wandy*).

Idźmy!

LEON.

Pani nie wypiła swej kawy, ani ja. Gdy skończymy złączymy się z wami. Dobrze?

(*Wanda daje znak potwierdzający głową.*)

(*Wychodzą.*)

LEON.

Więc?

WANDA.

Przedewszystkiem różnice w stopniu natężenia życia. To, co wam na rok starczy, ja wyczerpuję w tydzień. To, czego wy używacie na święto życia, jest dla mnie chlebem powszednim.

LEON.

Masz pani słuszność... prowadzisz życie zbytkowne... lecz nie rozumiem jeszcze. Mów jaśniej.

WANDA.

Czyż nie dość jasno mówię?...

LEON.

Nie rozumiem dyalektu wybranych.

WANDA.

Zabawną jest pana szydercza pokora.

LEON.

Szydercza?! Więc...

WANDA.

Więc waszym stanem przeciętnym jest spokój; moim ruch; — wy niekiedy tylko zdobywacie się na myślenie ogólne, mój mózg

do góry w miarę wypełniania się kasy wertheimowskiej. Z drugiej strony najtęższym przemysłowcom, kupcom czystej krwi, powinie się często noga ślepą malują fortunę. A owa operacya zbożowa to jedyny czyn Połanieckiego przed ślubem...

Żeni się i jak każdy „lepszej krwi“ lub dorobkiewicz jedzie do Włoch w podróż poślubną. Wolno mu, ale pospolitość ta razi. Dobrze przynajmniej, że nie udaje znawcy i nie kupuje dzieł sztuki i starożytności. Szczęście, które go nie odstępuje nawet poza krajem, prowadzi go do łoża Bukackiego. Ten miniaturowy Płoszowski, zrozpaczony, że nie był użyteczny na świecie nikomu i niczemu, zapisuje Połanieckiemu część swego dużego majątku, a resztę, kilka razy większą, daje mu do rozporządzenia na cele publiczne. No, niewielka to sztuka wprawdzie robić dobrze cudzemi pieniędzmi, ale przynajmniej pokaże Połaniecki, co umie, raz przecie, choć pośrednio, odniesie ogół korzyść z jego istnienia. Jako człowiek mający być rozumnym i praktycznym, z tysiąca potrzeb społeczeństwa wybierze te, co są najdonioślejsze, a jako mający posiadać energię, nie zaśpi sprawy, przeprowadzi ją szybko, dobrze rzecz zgruntuje i ugruntuje. Kto tak myśli, ten się myli. Połaniecki schował, co dostał, a o tem, co zrobić z owemi „celami publicznemi“ rozmawiał raz i to nie wiadomo jak z Bigielem. Wogóle trudno mu było takiemi drobiazgami zaprzątać sobie głowę, bo był właśnie zajęty Maszkową.

W trzy czy cztery miesiące po ślubie z Marynią, z ową piękną, miłą, zacną, najlepszą z Maryń na świecie, w parę tygodni po radosnem dowiedzeniu się, że zostanie ojcem, nasz bohater wysila swą energię, swą „zdrową naturę“ na uwiedzenie żony przyjacielowi. I popełnia ten czyn w sposób tak brutalny, szorstki, że ani o włos nie jest lepszym od Kopowskiego, z którego drwi i którym gardzi. Prawda znowu, że przychodzi refleksya; że nazywa siebie nędznikiem i że jak brutalnie połączył się węzłem namiętności z Maszkową, tak brutalnie ten węzeł rozerwał. Ale nie w tym jedynie wypadku stosunek Połanieckiego do żony nie jest stosunkiem człowieka, co „wyrobił w sobie zasady, miał je“. Jest to po prostu despota domowy, który uważa żonę jako istotę przeznaczoną do spełniania funkcyi rozrodczych, której obowiązkiem oddawanie czci bałwochwalczej jego rozumowi i dzielności, oraz bezgraniczne posłuszeństwo. Dochodzi w żądaniu tego ostatniego nawet do aberacyi, mówiąc do Maryni: „ale ty mi pamiętaj, żeby była córka“. Z szorstkością, którejby się nie przebaczyło parobkowi, ciągle daje uczuć Myryni, że mniej mu chodzi o nią, niż o dziecię, które ona nosi w swem łonie. Dopiero obrzydzenie, jakiego doznał po stosunku z Maszkową i zbliżające się ojcostwo, czynią w nim przewrót; a chwila, w której Marynia znajduje się w niebezpieczeństwie życia, godzi go niby zupełnie z zasadami. Przyczynia się do tego i wpływ rodzącej się w nim religijności. Szkoda tylko, że ten zwrot ku Bogu polega na zamiłowaniu Połanieckiego do frazesów. Marynia wychodząc raz do kościoła powiedziała „służba Boża“. To go zastanowiło. Jeszcze więcej podobało mu się, kiedy Świrski podczas zwiedzania Koloseum poetycznie przedstawił upadek potęgi rzymskiej, na której ruinach wznoszą się „krzyże, krzyże, krzyże“. Bierze wreszcie religię jak zdobywca, nie z gorącej wiary, ale olśniony jej blaskiem, potęgą i trwałością, bierze, bo mu jest potrzebna do spokoju, a on sobie już ukuł frazes, że spokój jest szczęściem życia. Zresztą wszystko minęło, a „msza wciąż się odprawia“ — oto argument naiwnością swoją zaprawdę rozbrajający. Miałoby się ochotę powiedzieć Połanieckiemu: starsza od Kościoła jest bóżnica, — a więc zostań żydem.

Jak się to stało, tak się stało, dość, że Połaniecki dobrzeje na ostatnich kartach powieści. Jest nawet chwila, w której czytelnik sądzi, że ten „dzielny“ człowiek zdolny jest rzeczywiście do czynu. Robi coś w tajemnicy, odbywa naradę z Bigielem, wyjeżdża i spędza po kilka dni za domem. I dowiadujemy się, że... nabył Krzemień. Marynia zachwycona, — nic w tem dziwnego, — któż jednak inny czynem tym tak bardzo miałby się zachwycać. Kupił, bo miał pieniądze, kupił tanio, zrobił dobry interes. A któż mający pieniądze nie zrobiłby dobrego interesu? Połaniecki miał na Krzemieniu wierzytelność, czuł od dawna gwałtowną chęć posiadania własnego kawałka ziemi, z Krzemieniem łączyły go wspomnienia, był na razie zakochany w Maryni, która nie mogła się pogodzić z utratą Krzemienia („a była jak nigdy śliczna“), a więc go kupił. Ogromnie łatwe bohaterstwo!

I na tem koniec. „Oto czyny moje“ — woła Połaniecki, a my pytamy: jakie? Widzimy tylko, że komu szczęście dopisuje, kto robi pieniądze, ten nietylko znajduje względy u szarego tłumu, tarzającego się w prochu przed złotem i powodzeniem, ale i u znakomitych powieściopisarzy. Gdyby Połanieckiemu powinęła się noga w interesach, gdyby zbiedniał, potrzebował pomocy, odwracanoby się od niego, nie przebaczonoby mu ani wyzucia Pławickich z Krzemienia, ani stosunku z Maszkową; bogobojne damy roznosiłyby sławę jego „tyraństwa“, ludzie „poważni“ nazwaliby go waryatem, człowiekiem lekkomyślnym, drwiliby z jego perkalików i domu handlowego; taki Maszko, gdyby mu się powiodły operacye, spoglądałby na niego jak na głupca i niedołężnego aferzystę, wyższe sfery wskazywałyby na niego jako na odstraszający przykład, do czego doprowadzić może człowiek „dobrze urodzony“, kiedy się „zapomni“ i kala nazwisko kupczeniem, a nawet Marynia, ocierając łezki pokryjomu, straciłaby wiarę w wyższość Stacha i patrzyłaby na niego wzrokiem mówiącym: czemuś ty taki „niepraktyczny!“

Połaniecki stanowczo nie udał się Sienkiewiczowi. Może wprawdzie ktoś twierdzić, że on go chciał mieć takim, a nie innym, że Połaniecki, choć się nie podoba ze stanowiska etycznego, to jest przecie sam dla siebie typem skończonym — ale oba te twierdzenia nie mają rzeczywistej podstawy.

Naprzód Sienkiewicz nie chciał go mieć takim, a że takim został, to winno temu nic innego jak druk częściowy powieści w miarę posuwania się pracy autorskiej. Co się już raz wydrukowało, tego odwołać niepodobna, a tymczasem w czasie tworzenia nasuwają się autorowi nowe sytuacye, nowi ludzie, nowe zawikłania. Traci na tem zawsze przedewszystkiem konstrukcya powieści, co można udowodnić na wszystkich utworach w ten sposób pisanych, a bardzo często przeistaczają się typy i charaktery Z pierwotnego szkicu zostają zaledwie kontury, jeżeli nawet zostają. O sposobie pisania „Rodziny Połanieckich“ opowiadano nawet anegdoty. Mówiono, że np. autor telegrafował razu pewnego do „Biblioteki warszawskiej“, prosząc o odpowiedź co się stało z Bukackim, bo mu gdzieś zaginął — i otrzymał również telegraficzne wyjaśnienie, że Bukackiego pozostawił w Rzymie. Za prawdziwość tego faktu nie ręczę, ale wydaje mi się bardzo prawdopodobnym. Wadliwość konstrukcyi „Rodziny Połanieckich“ wykazałem powyżej, przeprowadziłem też szkicowo porównanie Płoszowskiego z Połanieckim, które samo już wykazuje, że Sienkiewicz miał zamiar postawić Połanieckiego jako kontrast zupełny Płoszowskiego. Ale są inne jeszcze dowody zupełnie wyraźne, że Sienkiewicz umiłował swego nowego bohatera, że chciał dać w nim typ człowieka z „dogmatem“, posiadającego wprawdzie wady, słabostki, nieodłączne od natury ludzkiej, ale bądź co bądź dzielnego, mającego cel wytknięty w życiu i w gruncie rzeczy szlachetnego. Wiemy co on sam o sobie myśli i mówi, jak się nieustannie chwali, jak wciąż rezonuje na temat, że ro-

---

uogólnia fakt każden. Wiadomość moja nie chwyta pierwotnych i luźnych szczegółów, i nie zachowuje ich w tej postaci, lecz grupuje je natychmiast. Wreszcie wy dochodzicie do pewnych stałych przekonań i te wystarczają wam na życie, ja tego nie potrafię; ja się ustawicznie przetwarzam, wy zatrzymujecie się na pewnym stopniu i udoskonalacie tylko ostateczną przemianę.

LEON.

Przyznać pani musisz, że obowiązkiem każdego człowieka jest zdobyć sobie stałe zasady życiowe i postępować według nich; ujednostajnić swój sposób myślenia, działania, mówienia nawet... to ostatnie choćby dla uproszczenia życia.. Inaczej nie byłoby pracy systematycznej, więc i rozwoju, który ostatecznie jest sumą pracy codziennej, wytrwałej, podjętej w różnych kierunkach przez oddzielne jednostki.

WANDA.

Czyż przeczę temu?

LEON.

Jeżeli nie, powinnaś pani także dążyć do ustalenia i ujednostajnienia przekonań i życia.

WANDA.

Gdyby niewzruszoność zasad i poglądów leżała w zakresie woli, może, dla czego nie?...

LEON.

Wolą można dojść do wszystkiego.

WANDA.

Prócz do zatamowania ruchu mózgu i nerwów, prócz ustanowienia rozwoju, który intelektualnie jest ciągłym procesem krytycznym w łonie zdobytych pojęć.

LEON.

Bardzo pięknie; zyskuje na tem może pani dusza, lecz nie działalność, jako jednostki pożytecznej.

WANDA.

Przyjdzie może czas... (a może tak jest dzisiaj i było) gdy zbogacenie się moralne jednostki uważać będę za przyczynek do rozwoju społeczeństwa... (jak dawniej) nim byśmy rozstrzygnęli, o ile ja jestem pożyteczną: trzebaby się zgodzić co do samego pojęcia „pożyteczności“. A nie pogodzimy się nigdy.

LEON.

Dla czego? Dwu zdań w tej mierze być nie może. Pożytecznym członkiem społeczeństwa jest ten, który pracuje dla ogólnego dobra.

WANDA.

Tak, tylko zakres „ogólnego dobra“ jest nieskończony i ogarnia krainy, które ja wielbię, a któremi pan jak Wandal pomiatasz.

LEON.

Rozumiem; rzeczywiście, uważam, że dzisiaj tylko na gruncie praktycznej, natychmiastowej korzyści można i powinno się być pożytecznym. Sztuki piękne, myśl oderwana, to zbytek w naszych czasach. Nie łudź się pani; nie uważam cię wcale za jednostkę pożądaną, dla tego że komponujesz jakieś tam utwory muzyczne. Społeczeństwu z tego nic nie przyjdzie, co najwyżej będzie się chełpić, że pierwsze wydało kobietę obdarzoną rzeczywistym twórczym talentem muzycznym.

WANDA (*pytająco*).

A dla czego będzie się chełpić?

LEON.

Bo dotąd społeczeństwa są tak dzikie, jak kobiety, które lubią stroić się w świecidła, choć im brak sukni na grzbiecie. Wy, artyści i filozofowie, wyście świecidłami na ciele Łazarza. Macie z czego być dumni.

WANDA (*wzrusza ramionami*).

Społeczna doniosłość sztuki jest sprawą rozstrzygniętą. Na co ją roztrząsać?

LEON.

Co do muzyki, uważam ją za pożyteczną, o ile uspakaja waryatów, poza tem, do obłędu doprowadzić może zdrowych.

WANDA.

Ci „zdrowi“ widocznie mają ukryte zarodki szału.

LEON.

Lub też muzyka jest trucizną, wydającą dobre skutki tylko w organizmach chorych.

WANDA (*z zapałem*).

Muzyka to potęga! Wielki bodziec siły i szlachetności! Najsilniejszy, bo nieuchwytny bodziec energii ukrytej!

bienie pieniędzy nie jest celem, że „nikt kto kończy się na *ski* albo *wicz*, nie potrafi w to włożyć całej duszy". (I 51) itd. Cała zresztą jego rozmowa z Marynią na początku pierwszego tomu stawia go od razu w pewnem idealnem świetle. Ale to, jak on się sam sobie przedstawia, można złożyć na samochwalstwo — ważniejszem jest to, co inni o nim myślą. Naprzód zapewnia Sienkiewicz, że „spotykało go ogólne uznanie za to, że coś robił" (I 86). „Połaniecki to tęgi człowiek", mówi o nim spokojny, rozsądny i praktyczny Bigiel (I 224). „Co to za człowiek!" woła z zapałem do Waskowskiego zacna Emilia (I 155) a niedługo później powtarza toż samo swej przyjaciółce w słowach: „Nie uwierzysz jaki to dobry, dzielny i szlachetny człowiek!" Maszkowa mówi do niego: „Mama zawsze mówiła o panu jako o człowieku, któremu w każdym wypadku możnaby zaufać" (III 165). Z całego zresztą zachowania się względem Połanieckiego wszystkich osób występujących w powieści, widać że go cenią i poważają, a najwyższy dowód chyba uznania oddaje mu sceptyk dekadent Bukacki, zapisując mu część majątku i oddając do jego rozporządzenia sumę krociową, jeżeli nie milionową, na cel publiczny — widocznie miał przekonanie, iż nikt podobnie jak on uczciwie i rozumnie nią nie rozporządzi. Kiedy Maszko, jako rywal Połanieckiego, chce go poniżyć w oczach Maryni, nie zdobywa się na nic więcej jak na frazesy: „charakter to jeszcze nie wyrobiony, inteligencya mniejsza niż energia, ale natura raczej dobra" (I 188) — cóżby powiedział, gdyby chciał o nim sumiennie wyrzec swoją opinią?! Przypuśćmy jednak, że znajomi Połanieckiego cierpieli na daltonizm, że Sienkiewicz umyślnie chciał wykazać jak łatwo da się podejść i fabrykować opinia ludzka. Nie wierzmy więc samemu Połanieckiemu, ani jego znajomym - posłuchajmy raczej, co sam Sienkiewicz mówi o swoim bohaterze. Dowiadujemy się naprzód, że czuł on „niepohamowany wstręt do materyalizmu" i że „miał pewną *tęgość duchową* i fizyczną" (I 33). Kiedy bawił w Krzemieniu „podobał się Maryni ze swoją twarzą szczerą, męzką... pewną dzielnością w całej postaci". Przywiózł przytem tyle tych tchnień, których jej w Krzemieniu brakło, jakieś nowe widnokręgi... (I 57).

K. Bartoszewicz.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NEOROMANTYZM.

(Dokończenie.)

Ulubionym bohaterem Bret Harte'a jest szuler Oakhurst; występuje on w kilku nowelach, które zyskały sobie nazwę arcydzieł, a zawsze rola, jaką odgrywa, jest idealną. W jednej poświęca swą miłość, i to miłość odpłacaną wzajemnością, ażeby nie zranić przyjaciela, wydzierając mu kobietę ukochaną. W innej znów poświęca życie dla uratowania towarzyszów niedoli, zasypanych śniegiem na stepie i zabija się, ażeby zbyt szczupłe zapasy żywności pozwoliły doczekać pomocy istotom szczęśliwszym, pożyteczniejszym, mającym większą wartość moralną.

Poświęca się więc, a czyni to spokojnie, bez próżnych słów, jakby rzecz najzwyczajniejszą. On także oddaje sobie sprawiedliwość, jest czem jest, autor wcale go uniewinniać nie myśli. Znany ze swych sprawek szuler wyrzucany jest z miasta do miasta zapewne słusznie, nikt przynajmniej o tej słuszności nie powątpiewa, nawet sam Oakhurst nie protestuje przeciw podobnym wyrokom. Ale ta ujemna strona jego życia nie przeszkadza mu mieć szlachetnych popędów a nawet ponieść dobrowolną śmierć z ich powodu.

W innym znów obrazku kobieta znana przez całe miasto z wesołego życia, ginie nagle z oczu licznym wielbicielom i zagrzebuje się gdzieś w pustkowiu, ażeby pielęgnować kochanka, dotkniętego paraliżem. Z biedaka bezwładnego, zidyociałego wyśmiewa się gawiedź, a ona tego znieść nie może. Wywozi go więc daleko i pielęgnuje w ustronnej chacie.

Obowiązki siostry miłosierdzia przyjęła dobrowolnie, tknięta niedolą człowieka, który ją kochał i spełnia je wesoło, ochotnie, idąc za poszeptem serca, nie domyślając się wcale wartości swego czynu.

Na podobne poświęcenia według Bret Hartea nie zdobyłby się nikt z ludzi istniejących w regularnych warunkach, żaden z tych poważnych filistrów, których postępowanie ani o krok nie wybiega poza powszednią normę, którzy są dzierżycielami urzędowej cnoty, urzędowego miłosierdzia, urzędowych uczuć. Szlachetne porywy serca są udziałem wykolejonych, a wykolejeni są oni właśnie dla tego, że nie mogli się do przeciętnej normy dostroić, tem samem więc stanęli w kolizyi ze społeczeństwem, które poza nią nie pojmuje nic więcej.

Jeśli amerykański nowelista porównywa pomiędzy sobą dwóch ludzi, zawsze odda pierwszeństwo temu, co się znajduje w nieregularnem położeniu, ten zawsze będzie w gruncie lepszym, wyższym, szlachetniejszym, przymioty według niego stanowią przeszkody do zajęcia jakiegokolwiek miejsca w hierarchii społecznej, bo w niej od góry do dołu są tylko ludzie bez istotnej wartości.

Pogląd ten wypowiedziany jest wyraźnie w „Odnalezionym synu". Zbogacony handlarz — bez rodziny — przypomina sobie, iż przed wielu laty zginął mu syn, który dziś byłby już człowiekiem. Dawniej, wśród ciągłej pracy i zabiegów, niewiele myślał o tej stracie. Teraz jednak budzi się w nim gwałtowna żądza odnalezienia dziecka, któremu dać może dostatek i szczęście, a które w zamian będzie pociechą jego starości. Robi więc poszukiwania i te zostają uwieńczone skutkiem. Syn miły, dorodny, kochający zamieszkuje w jego domu i pełen wdzięczności, otacza ojca miłością.

Ażeby uczcić powrót dziecka, ojciec sprasza znajomych, chce wszystkich o swem szczęściu uwiadomić. Nagle zjawia się jakiś obszarpany biedak i składa nieomylne dowody, że to on właśnie jest owym poszukiwanym synem. Więc ten pierwszy, co zyskał sobie serce ojca, jest tylko samozwańcem, który nadużył zaufania i dopuścił się niegodnego podstępu. Ojciec wypowiada mu to w oburzeniu, wskazując zarazem drzwi domu, co rozwarł się przed nim gościnnie i widział w nim swego pana.

Samozwaniec milczy, schyla głowę przed słusznym wyrokiem i oddala się pokornie, bez słowa tłomaczenia się lub prośby, rzuca tylko odchodząc na starca, który był mu ojcem, spojrzenie pełne żalu i miłości.

Prawdziwy syn tymczasem wykazuje od razu swą grubą naturę, upija się, robi burdy, lekceważy ojca, napełnia dom wrzaskiem i wyziewami alkoholu. Jakże innym był ten pierwszy. Tego pierwszego brakuje ojcu coraz bardziej, w miarę jak porównanie ujawnia różnice. Czemuż go wypędził? Czemuż okazał się względem niego twardym i okrutnym, zamiast zatrzymać tego syna, którego mu niebo zesłało. Pokochał go już, czuje to po niewczasie, gdy tymczasem syn prawdziwy budzi w nim wstręt tylko. Utkwiło mu w sercu smutne, przeciągłe spojrzenie, jakie mu rzucił odchodzący i żal jego się wzmaga. Chce go przywołać znowu, każe szukać. Opamiętał się tak szybko, iż zbieg nie może być daleko. Daremnie. Ten syn mniemany przepadł jak kamień w wodzie. Starzec nie zobaczył go nigdy więcej, a opłakiwał do zgonu.

Dla czegoż ten właśnie, co był oszustem,

LEON (*szyderczo*).

Jakże może być silnem to, co nieuchwytne?

WANDA.

Jakże może spojrzenie więcej powiedzieć, więcej, w suggestyi n. p. zdziałać od słów? Jakże może prosty okrzyk bólu więcej nas wzruszyć od frazeologii? Jakim sposobem elektryzuje nas burza, szum wichru niepokoi?...

LEON.

Zdolność pobudzania nerwowego nie pociąga za sobą własności skierowania energii w sposób określony.

WANDA.

Zapewne, lecz ogólny charakter muzyki oddziaływa na nas w pewien ogólny sposób. Jeżeliby przytem znalazła się okoliczność, odpowiednia uczuciom, które wzbudza, pobudziłoby nas silniej, niż cokolwiek do odpowiedniego, natężonego działania.

LEON.

Lecz na co to marnowanie siły przez wyzwolywanie energii, gdy ta niepotrzebna?

WANDA.

Danie ludziom świadomości ukrytej w nich siły nie jest jej marnotrawieniem. Muzyka, ten wymowny i jedyny może całkowity język duszy, jest wielką uświadomicielką utajonej w niej potęgi.

LEON.

Albo wielkim twórcom złudzenie siły.

WANDA.

Jeżeli złudzenie ma moc czynną dla czego pozbawiać go racyi bytu?... Można zarówno powiedzieć, że wszystko jest złudzeniem, jak że każde złudzenie jest prawdą.

LEON.

Nie będę się wdawał w kwestye metafizyczne... czy psychologiczne. Muzyka, to środek podniecający... rodzaj hasyszu... rzecz niezdrowa. Ja nie odbieram pod jej wpływem uczuć, o których mówiła pani.

WANDA.

Więc jako?

LEON.

Co to za mania, ta żądza świadomości wrażeń, wzbudzanych przez panią w innych.

WANDA.

Mowiliśmy w ogóle o muzyce.

LEON.

Lecz na co pani wiedzieć? Jak ty nie chcę odkrywać swych słabych stron. Powinnaś pani wiedzieć, że nie powinno się żądać od drugich tego, czego się im nie daje.

WANDA (*spokojnie*).

Nie żądam. Nie mamy nigdy prawa wymagać nic od ludzi poza elementarnemi prawami ludzkości... Lecz istnieje swoboda pytania, jak swoboda nie dania odpowiedzi,

LEON.

A czy wolno dać fałszywą?

WANDA.

Jeżeli nasza organizacya znosi wygodę kłamstwa, lub jeżeli ona jest zbyciem płaskiej aroganckiej ciekawości ludzi.

LEON.

A jak nazwiesz swoją?

WANDA.

W przeciwstawieniu do pierwszej bezinteresowną, przedmiotową, quasi naukową.

LEON (*z ironią*).

Czy z pewnością bezinteresowna?

WANDA.

Ma się rozumieć; plotki i intryga są mi nieznane.

LEON.

Nie o nich myślałem... Lecz, jeżeli jest quasi naukową, musi tem samem być interesowaną, mając na celu doświadczenie.

WANDA.

Poznanie danej jednostki.

LEON.

Za pomocą dokonywanych na niej doświadczeń i w jakim celu to poznanie?

WANDA.

Jakto, za pomocą doświadczeń?

LEON (*szorstko*).

No, tak; grasz pani, by widzieć wpływ swej gry na tych, których chcesz poznać.

WANDA (*otwiera szeroko oczy*).

Ja?

co się podszył pod cudze prawa, zasługiwał na miłość ojcowską? Fakty podobne zdarzają się w życiu, które nieraz zdaje się drwić z ludzi i ich uczuć, ale u Bret Harte'a powtarzają się one tak uparcie, iż musimy w nich dostrzedz cel wyraźny. Według autora, najlepsze istoty nie mogą się dostroić do kamertonu świata, który poniewiera szlachetnych, samoistnych, a tylko podłych łaskami obsypuje, dla tego to najlepsi nie są z nim w porządku. Odbywa się tu rodzaj przewrotnego doboru naturalnego, biada na świecie tkliwym, impulsywnym, tym co mają serce. Oni to upadają, oni schodzą na manowce, których doskonale uniknąć umieją, wyrachowani, choć w gruncie stokroć gorsi oni są, umieją być w zgodzie z kodeksem i społeczeństwem.

Zapatrywania te nowemi nie są. Na początku naszego wieku były one treścią poezyi Byrona. Streścił on je nawet dobitnie w kilku wierszach Korsarza, który sam rzucony w rozbójnicze życie „rozumiał, że nikt nie lepszy, choć nim zdać się umiał, i gardził dobrym, jak tym co w obawie, czyni to skrycie, co inny na jawie“.

Nie w jednej Anglii i Ameryce spotykamy się z rehabilitacyą ludzi potępionych przez społeczeństwo. Literatura skandynawska daje pełno podobnych przykładów. W wielu sztukach Ibsena postacie pochodzące z mętów społecznych mają daleko większą wartość niż te, co używają dobrej sławy i znaczenia. Takim jest w Hedzie Gabler, genialny i nieszczęśliwy Löwborg, doprowadzony przez złą kobietę do rozpaczy i samobójstwa. Stoi on pod względem umysłowym daleko wyżej od Tesmana, a moralnie od radzcy Bracka jednak on ginie, oni pozostają.

W Rosmersholmie występuje także w jednej scenie dawny nauczyciel bohatera, dziś przybłęda bez dachu i chleba. Nędzarz ten jednak wzbudza podziw w Rosmerze, bo jak mówi, ma odwagę być sobą. Ludzie za to mający szacunek powszechny, podpory społeczne jak n. p. pastor Manders w Widmach są przedstawicielami fałszywych idei, fałszywej moralności i tego wstrętnego konwencyonalizmu, który krępuje indywidualizm, wstaje na wspak wszelkim szczerym porywom i w skutkach okazuje się fatalnym.

W „Truciźnie“ Kiellanda cicha walka wre pomiędzy zgodnem z pozoru stadłem. Mąż karyerowicz hołduje filisterskiej etyce, żona szuka prawdy tylko. Życie uwydatnia różnice i zaostrza walkę, a toczy się ona o duszę dziecka. Ojciec chce w nie wpoić korzystną mądrość świata, matka chce je urobić według swojej wiary. Walka kończy się dla niej fatalnie. Złamana i zawiedziona szuka ucieczki w truciznie.

W Redaktorze Lyngel Hamsuna jedyną istotą mającą jakąkolwiek wartość jest fałszerz Haibro, który jednak sam poczuwając się do winy, oddaje się w ręce sprawiedliwości. Myśl więc przewodnia całej szkoły chociaż występuje mniej jaskrawo niż w Bret Harte'a, nie różni się z nim w gruncie. Wyższość jest zawsze udziałem tych, którzy z jakichkolwiek względów nie są w porządku ze światem. Stosunki życiowe jego są smutne. Realizm nie przedstawia ich także w dodatnim świetle. Przeciwnie, wielcy jego mistrze nie szczędzą barw ciemnych. Dość wspomnieć Flauberta lub Zolę. Ludzie są według nich zepsuci, podstępni, gotowi spełnić każdą podłość, skłonność do zbrodni leży w ich naturze i odzywa się przy każdej sposobności.

Romantyzm nie goni już dziś za nadzwyczajnością. Od realizmu różni się tem głównie, że malując złe ogólne, stawia obok niego szlachetne wyjątki, ale tych szlachetnych nie znajduje pomiędzy zwycięzcami, ale zwyciężonymi.

Jest w tem niezawodnie wiele prawdy, jakkolwiek myliłby się bardzo ten, coby zbyt skwapliwie poszukiwał klejnotów w śmietniskach. Klejnoty są zawsze rzadkością.

Kilka przykładów z najświeższych utworów literackich starczy do wykazania żywotności idei odpowiadających pewnym stronom naszego ducha. Przetrwały one wrogie sobie prądy i dziś odzywają się z nową siłą.

Parę dziesiątków lat temu nie było dość szyderstw na scharakteryzowanie szaleństw niemieckiego romantyzmu, a oto dziś la Motte Fouqué, Immermann, Grabbe itp. zostali prześcignięci przez Maeterlincków, Huysmans'ów, Peladanów, Villier de l'Isle Adam i całą szkołę mistyków, teozofów, okultystów, palladystów, satanistów, którzy wkroczyli do literatury, zawładnęli beletrystyką i urozmaicają intrygę sprawami czarodziejskiemi. Magnetyzm, hypnotyzm, suggestya stały się dziś w powieści przynajmniej chlebem powszednim. Czarodzieje za pomocą szatańskiej siły nasyłają nieprzyjaciołom choroby, przeciw którym bezsilną jest sztuka lekarska, bo zwalczyć je tylko można odpowiedniemi praktykami, dokonanemi przez równie potężnych egzorystów. Jak za dobrych dawnych czasów odbywają się piekielne tajemnice sabatów, kapłani bluźnierczy odprawiają czarne msze (La-bas Huysmans'a). Śmierć występuje jako istota realna. Za jej zbliżeniem milknie wesoły świegot ptaków, ćmią się światła; słyszeć można jej kroki i dźwięk złowrogiej kosy. (Intruz Maeterlinck'a.)

Słowa i czyny mają tajemnicze znaczenie, a to niezależnie od tego, jakie jest ogólnie do nich przywiązane. Pewne dźwięki mają moc przyciągania otaczających nas niewidzialnych istot za pomocą pewnych ruchów i znaków można im rozkazywać i tej to właśnie potęgi nabywać mają teozofi w klasztornych uczelniach ukrytych w głębi Indyi.

W tych dziwacznych kierunkach odzywają się średnie wieki z całym swym orszakiem czarów, widm i przerażeń. Nie jesteśmy panami ani naszych czynów, ani myśli, ani woli. Znajdujemy się ciągle wśród niewidzialnych istot, które mogą być nam wrogie lub przyjazne i te wywierają na nas wpływ nieustanny. One to są po większej części według mistyków powodem melancholii, zboczeń umysłowych, szałów, one to czychają na chwile upadku i zwątpień i opętanym przez siebie, nasuwają myśl samobójstwa wkładają w rękę mordercze narzędzie.

W Paryżu nawet, w tej stolicy racyonalizmu, odbywają się w tajemniczych świątyniach obrzędy pełne dziwactwa i pozy. Niepodobna tych wszystkich objawów składać jedynie na wyczerpanie, mające jakoby towarzyszyć końcowi wieku. Wieki nie kończą się i nie zaczynają, a raczej kończą i zaczynają w każdej chwili, inaczej musielibyśmy przyjąć wierzenia symbolistów i jak oni przypisywać ukryte znaczenie liczbom i wyrazom.

Wszystkie te fakty świadczą jednak, że kierunki w literaturze, które odpowiadają pewnym stronom naszego ducha, nie mogą być z niej wyrugowane. Jeśli spotykamy w niej skrajną niewiarę, spotykamy także mistyczne wierzenia. Jeśli istnieje ubóstwienie siły i przyznanie konieczności spełnionych faktów, musi istnieć także cześć dla niewcielonych idei, współczucie dla nieszczęśliwych i gorące pragnienie sprawiedliwości. Są to bowiem pojęcia wyrobione wiekową cywilizacyą, oraz wzniosłych marzeń starożytności, które najwyższy swój wyraz znalazły w Chrystyanizmie, chociaż pomimo wody chrztu, zlewanej na tyle idących po sobie pokoleń dotąd nie weszły w życie i zostały w stosunkach społecznych martwą literą.

Koleją oddalamy się i wracamy w literaturze do tych ideałów, probujemy daremnie wytworzyć sobie inne i przekonywamy się, że bankructwo humanitarnych kierunków w piśmiennictwie idzie w parze z ich bankructwem w życiu i z barbarzyńskiemi pojęciami, które sformułowane zostały dobitnie w wyrażeniu: „Siła przed prawem“. Bo jedno z dwojga, albo przyznać musimy, że nie wszystko co się stało

---

LEON (*nagląco*).

Więc dla czego ich chcesz poznawać?

WANDA.

Jakto, dla czego?

LEON (*szorstko*).

Naturalnie. Wszystko powinno się robić i robi z celem. Jakiż jest cel pani ciekawości.

WANDA.

Poznanie.

LEON.

I nic nadto?

WANDA.

Cóż więcej być może?

LEON.

Działanie, chęć praktycznego zużycia swej wiedzy. Może myślisz, że nie wiem, że pragniesz, że masz ambicyę panowania nad cudzemi duszami za pomocą fortepianu grania na nich jak na fortepianie.

WANDA (*z uśmiechem*).

Dowiaduję się o tem teraz dopiero, lecz jednocześnie zrozumiałam coś więcej, źródło pana niechęci do mnie.

LEON.

Jak pani doskonale udawać umiesz! Więc nie wiesz, że grając, trzymasz na uwięzi dobrze słuchających. Może nie dla tego grasz?... Może świadomość tej potęgi nie sprawia ci rozkoszy?... nie jest przyczyną twej dumy?... Ależ sam instynkt tworzenia jest instynktem panowania.

WANDA (*z głębi myśli*).

Albo koniecznością oddania się światu.

LEON.

Pani oddaje się!

WANDA (*z gorzkim zapałem*).

Tak, ja wam, światu! Całą duszę w grze! Niewiadomo na co.

LEON.

Rzeczywiście. Na co nam się zda ta dusza rozhukana i niepojęta.

WANDA.

Prawda.

LEON (*rozdrażniony*).

Więc celem twego życia oddanie swej duszy?

WANDA.

Celem? nie... Koniecznością często bolesną i dręczącą.

LEON.

Więc cóż jest pani celem? Żyjesz, czujesz, by tworzyć.

WANDA.

Nie: tworzę, bo żyję i czuję.

LEON.

Gonisz za wrażeniami, by drgania twe pod ich wpływem przelać w dźwięki.

WANDA.

Pod wpływem wrażeń, wstrząśnień i myśli, którenii mnie nieustannie obrzuca życie, drgam, i te drgania wcielam w tony, bo są zbyt silne i zbyt spragnione dalszego ruchu i przemiany, by mi się w duszy zostały.

LEON.

Grasz ludziom, bo wiesz, że ich porywasz, zachwycasz, że pod wpływem twego talentu klęknąć przed tobą gotowi, jak przed bóstwem.

WANDA.

Gram ludziom, bo pragnę czuć nie sama, bo odczuwam, nieodpowiednio do czasów, w których żyję, głęboką spójnię i jedność międzyludzką, bo chcę, by ich porwało moje wzruszenie, bo mam przytem konieczne złudzenie wszystkich twórców, że zostanę odczutą.

LEON.

Chcesz, by cię odczuwano, by *twoja* dusza poruszała drugich dusze, by być panem ich uczuć i woli.

WANDA.

Pragnę być odczutą, by dla *tego*, co mną wstrząsnęło, co mnie porwało, zyskać współwyznawców, by czuli i pragnęli *tego*, co czuję pragnę, i w imieniu *tego*, co mnie porusza, bo to jest prawda i dobro.

(Ciąg dalszy nastąpi).

jest dobrem i koniecznem, albo też wyprzeć się szlachetnych aspiracyi, uznać, że na świecie użycie jest wszystkiem i prześcigać się w pogłości dla zdobycia środkowego użycia.

Patrząc więc krytycznie na najświeższy zwrot w literaturze, dostrzeżemy łatwo, że wywołany został reakcyą przeciwko apoteozowaniu faktów spełnionych. Reakcya równa się akcyi, nadużycie staje się powodem nadużyć i w tem leży jego największa szkodliwość, to co Göthe nazwał „Der Fluch der bösen That“. Niepodobna zgodzić się na krańcowo mistyczne doktryny, ale uznać musimy racyą bytu tego nowego wykwitu romantyzmu, objawiającego się mniej więcej wyraźnie we wszystkich literaturach. Jest to protest pierwiastków skazanych niesłusznie na milczenie, a dobijających się miejsca pod słońcem, które witać musimy z tem większem uznaniem, że stają do walki z powrotnemi falami barbarzyństwa usiłującemi zawładnąć światem.

Walerya Marrené Morżkowska.

Głodna sztuka.

Zmierzchło. W pracowni mojej siedzę sam, patrząc na rozłożony zeszyt „Moderne Kunst“. Na pierwszej stronnicy tego wspaniałego pisma widzę rysunek Fałata, a poniżej tytuł artykułu: „Polnische Kunst“, napisany przez dzielnego malarza Fritza Stahla. Artykuł ten poczyna się od wiersza: „Jeszcze Polska nie zginęła!“ Serdecznie i z prawdziwą przyjaźnią pisana rzecz o sztuce i artystach naszych, mimowoli łza zrosiła mi oczy, duszę wezbrała uczuciem dumy, ale serce ścisnęło uczuciem żalu za całym szeregiem bojowników, którzy zrodzeni na ziemi krwi i zgliszcza, nie mieczem, ale pracą ducha dążą do utrzymania wiary w słowa: „Jeszcze Polska nie zginęła!“... Przed oczyma moimi przesuwa się cały szereg tych ludzi. Nie sieją oni ani orzą, nie robią maszyn ani hodują stad. Uzbrojeni w siłę woli i uczuć szlachetnych, rozpoczęli oni bój wielki z całą Europą, ze światem całym, za broń wybrawszy sobie sztukę. I tą bronią wywalczyli oni całemu narodowi swemu pamięć i szacunek i podziw. Wywalczyli — ale bez pomocy narodu. Naród bowiem, względnie jego szlachetniejsza część, nie poczuwa się do obowiązków dawania pomocy tym bojownikom, a biorąc od nich wszystko, pozwala walczyć i ginąć... Tyle imion!... Cały tłum tłoczy mi się przed oczy... jedni z suchotniczemi wypiekami na policzkach, inni obdarci pną się bosemi nogami po różach i krwawią ciało kolcami nędzy!... Inni znowu obłąkanym wzrokiem wodzą naokoło i patrzą na mnie tak przykro i boleśnie!... głowy mają wieńczone laurem, w dłoniach ściśniętych dyplomy i złote medale... Zdala za tymi stoi mała garstka dobrze odzianych i odżywionych postaci, obojętnie patrzących na odartych i szalonych... w jednej ręce trzymają kartki z imionami mecenasów i kunsthändlerów, z drugiej worki dobrobytu... Oprzytomniałem, a wzrok mój padł znowu na słowa artykułu: „Es giebt eine polnische Kunst!... Otóż to jest wielkie pytanie! Ci artyści, którzy mieszkają w Monachium, są znani Niemcom, ci w Paryżu Francyi, ale bardzo niewielu z tych, co mieszkają w kraju, dla niego na miejscu pracują. Sztuka polska, czy polscy artyści? co istnieje? Na temat ten prowadzićby można szeroką polemikę, której wynik byłby może rozbudzeniem w szerszej masie naszej publiczności poczucia do obrony naszej sztuki i do dania jej skutecznej pomocy. Sztuka sama, jako taka, nie może być popierana przez miliony członków narodu — te miliony jednak powinny stworzyć tysiące jednostek zamiłowanych w niej i popierających ją wszystkiemi siłami. Wtenczas dopiero sztuka ta stanie się narodową, a w różnych swoich odmianach mówić będzie do całej masy bądź to jako poezya, jako muzyka, malarstwo, rzeźba lub architektura. Sztuka ta uszlachetniać będzie formy i kształty, jakiemi surowo i bezwzględnie przemawia do nas życie. Sztuka ta da nam szereg prawdziwych artystów i geniuszów, którzy dziełami swojemi znaczyć będą istnienie nasze, a masom narodu, jako lekarz koić będą rany wiekiem niewoli zadane!... Wątpisz o tem? Przeczytaj z „Przedświtu“ mały ustęp, a poruszy on w tobie całą skalę uczuć, zajrzy ci na dno duszy i wywoła na wierzch echa wspomnień, które ci powiedzą kim jesteś!...

Znasz zimowy step ten głuchy,
Gdzie śpią w grobach ojców duchy?
Gdzie w powietrzu twarz księżyca
Jak trupiego widmo lica:
I gwiazd niema tylko ona
W środku niebios, niewzruszona!
W jej promieniach przestwór cały
Znicestwiony, skamieniały.
Kędy spojrzeć, na wsze strony
Zaspy, śniegi, lody, szrony.
Strach jak biało, pusto, marno!
Groby tylko z głazu ryte,
Żadnym śniegiem nie pokryte,
Śród tej bieli stoją czarno!

Jeśli ci tego wiersza za mało, idź popatrz na „Rejtana“, na „Unią“ Matejki, posłuchaj żałobnego marsza Chopina, a te różne na pozór dzieła sztuki przeniosą cię w taki świat cierpień, że własny twój ból ukoją!... Rozpacz ustąpi i miejsce jej zajmie spokojne dażenie samopociechy duszy i serca. Sztuka bowiem działa niezrównaną potęgą i siłą, gdyż jest wyrazem największej umiejętności człowieka, którego właśnie dla jego niezwykłego talentu i władzy tworzenia zowiemy artystą. Zapewne, że słowo artysta jest zaszczytem, w którego nadawaniu publiczność, a szczególniej prasa powinnaby się więcej niż dotychczas ograniczyć, ponieważ wielu jest powołanych, ale bardzo mało wybranych.

Takimi wybranymi dla autora artykułu „Polnische Kunst“ są artyści polscy, którzy obok niego pracują i na dostępnych mu wystawach wystawiają. Takimi wybranymi są dla sprawozdawców monachijskich i paryzkich ci, którzy dla nich są dostępni. Wszystkim tym sprawozdawcom należy się bezsprzecznie wdzięczność i uznanie tem większe, że o większości polskich artystów stale za granicą mieszkających dowiadujemy się u nas w kraju z ich artykułów, albo przy sposobności wielkich wystaw okolicznościowych, na których rozdają się dyplomy i medale złote. W latach zwykłych, na zwykłych „Salonach“ Warszawy i Krakowa lub Lwowa, nie widzimy nic takiego, coby nas utwierdzało w przekonaniu o wielkości polskich artystów i istnieniu polskiej sztuki. Na zwykłe dni pracować muszą artyści zawsze mieszkający w kraju, w otoczeniu mniej jak biednem — wśród walki o codzienną strawę, nie dziw więc, że i plon ich jest średni, chociaż większym nakładem siły moralnej produkowany.

Artyści polscy mieszkający w Monachium lub Paryżu albo Rzymie, wykształcenie swoje i sławę zawdzięczają zagranicy. Tam się zaaklimatyzowali, tam czują się w domu i znajdują materyalne zapewnienie bytu. Czasami, tylko czasami zawita jakaś z ich prac do krajowego „Salonu“ i to zwykle praca słabsza od innych, które wprost ze sztalugi poszły w ręce Kunsthändlerów lub na obce „Salony“ światowe, aby z nich już do artysty, a tem mniej do kraju nie powrócić. Muzea są u nas niezname. Jedyne „narodowe“ w Krakowie posiada większość obrazów z początkowego okresu sztuki polskiej, a mniejszość ich z lat ostatnich nie dowodzi wcale istnienia jej wielkości. Owa szkoła czy nawet „Akademia“ Sztuk pięknych w Krakowie wykazała się szczególniej w ostatnich latach nietylko nie dodatnią działalnością, ale wprost zgubnym wynikiem w mnożeniu proletaryatu polskich artystów, ponieważ nie daje ani nauki przygotowawczej, z którejby powstali dzielni pracownicy ani polu sztuki artystycznego przemysłu, ani nauki skończonej dla samodzielnie tworzących artystów. Jest ona jakby konieczną potrzebą istnienia dla pewnych tylko jednostek, którym trzeba dać utrzymanie i to utrzymanie pokryć jakowąś pracą oddawaną społeczeństwu. A wątpię, czy jest taka praca, którаby gorsze wyniki dawała, jak praca szkoły

---

SVEN LANGE.

ENGELKE.

Tłomaczyła **Marya L.**

(Dokończenie.)

— Niezupełnie... przypomina sobie pan chyba. Ale mniejsza o to, ważniejszem było to, że oskarżenie swe tak czelnie, tak śmiało wypowiedziałeś... przyznaj się pan, wszak nic wówczas pewnego o Nörgaardzie nie wiedziałeś? Nie zaprzeczaj pan; miałem zupełnie to wrażenie i dla tego tak ostro zaraz pana zapytałem. W wielu dziedzinach jestem może idyotą skończonym, lecz doskonale potrafię zrozumieć to, co ludzie mówią, lub też powiedzieć zamierzają. Nie, kochany panie, musisz w tem przyznać mi słuszność: gdybyś był wtedy nie maczał swych palców w tej sprawie, zupełnie inaczej stałyby teraz rzeczy. Niesłusznie cierpiacą ofiarą zatem nie jesteś; im zaś tragiczniej sprawa się panu przedstawia, tem większą sobie samemu przypisać musisz winę. Starałem się, o ile to w mej było mocy, zmniejszyć tragizm tej sprawy za pomocą mych optymistycznych uwag, a tem samem i winę twą zmniejszyć, lecz jak zwykle, tylko niewdzięczność otrzymałem w nagrodę...

— W końcu doszliśmy do tego — rzekł teraz Bergström drwiąco — że tylko pan jeden z pośród nas jesteś niewinnym męczennikiem.

Pauli nie odpowiedział zaraz.

— Rezygnacya także może być męczeństwem! — rzekł po chwili. Po małej zaś przerwie zaczął znowu. — Ponieważ pan teraz sam niejako do winy się przyznałeś, chętnie uznam w nagrodę, że jesteś do pewnego stopnia usprawiedliwiony. Powiem panu rzecz jedną, chociaż nie wmawiam sobie, jakoby niezwykle głęboką zawierała prawdę... otóż, pana zaliczam do natur, którym — że tak powiem — przeznaczonym już jest los, jaki pana spotkał, jeśli wogóle to zdarzenie poważnie losem nazywać się godzi. Nie wiem właściwie, dla czego opatrzność to tak urządziła, lecz faktem jest, że najmędrsi ludzie największe popełniają głupstwa. Zapewnie jest w tem cel pewien ukryty, chociaż ja go dostrzedz nie mogłem... nawet dość dużo nad kwestyą tą się zastanawiałem, mam nawet do pewnego stopnia jej wyjaśnienie, raczej odkryłem drogę, która jak sądzę, do wyjaśnienia prowadzi. Zechce pan posłuchać? Otóż, zdaniem mojem rozwój świadomości każdego człowieka podobnym jest do krystalizacyi, która to czynność powoli w miarę tworzenia się czyli osiadania kryształów i płyn sam ostudza; a wiadomo panu, że im szybciej to ochładzanie następuje, tem liczniejsze i więcej różnorodne tworzą się kryształki. U niewielu ludzi, widzi pan, krystalizuje się świadomość szybko i rozmaite przybiera formy: już to gwiazdy, harfy lub też miecza, dzwonu i wielu, wielu innych rzeczy! Tam jest ciągły niepokój, ruch, ciągła zmiana... a bez związku wewnętrznego. U innych zaś ludzi, rozwój ten, czyli owa krystalizacya, bez porównania dłużej się odbywa: tu kryształek jeden z drugim powoli się łączy, bez nagłych zmian, aż urasta do jednej figury jednolitej, o silnych, trwałych podstawach, o kształtach raczej instynktownych: często tworzą one krzyż... czasem serce... a nawet i bicz może się utworzyć... Zawsze jednak ta jedna figura jest jednolitą zupełnie, nie zna niepokojów, nie zna zmian żadnych: ta jedna forma całą zupełnie świadomość. Rozumie się, że istnieją różne stopnie świadomości, prawidło jednak zawsze stosować się będzie: im liczniejsze formy, tem luźniej z sobą powiązane, im zaś ich mniej, tem są ściślejsze i więcej jednolite... Widzi pan, jak głębokie miewam pomysły? Bez żartów, czy nie sądzi pan, że jest w tem coś prawdy?

— Lecz ta głęboka myśl pańska wcale kwestyi nie objaśnia — rzekł Bergström —

sztuk pięknych w Krakowie. Nie stworzyła ona sztuki polskiej i o stworzeniu jej wcale nie myślała, mając to na celu jedynie, by utrzymać konserwatywny charakter kierunku tej sztuki bez względu na postęp, jaki się znaczył naokoło w całej Europie. Zamiast artystów, wydała całe szeregi biedaków, którzy nie mając dość talentu, aby wybić się na wierzch, nie mając dość pieniędzy, aby wyjechać za granicę, pozostali przez czas dłuższy w tej freblówce polskiego proletaryatu artystycznego — ginąc w niedostatku bez jakiegokolwiek pożytku dla społeczeństwa, dla siebie samych, a tem mniej dla sztuki polskiej. I nie pomoże tu ani zmiana kierownika szkoły, nie pomoże jego sławne imię i jego własna ciężka praca. Potrzeba na to zmiany wszystkich bez wyjątku sił nauczycielskich, potrzeba zapewnionej dotacyi, wystarczającej na zaspokojenie potrzeb naukowych, potrzeba nowych ludzi z fanatyczną miłością do sztuki i z wiarą w jej przyszły rozwój. Potrzeba artystów, którzyby ciągle mieszkali w kraju i w nim pracując, wpływali na otoczenie całej masy narodu, aby z niego wydobyć owe jednostki, do jakich należy pielęgnowanie i rozwijanie narodowej sztuki. Czesi powołali wszystkich swoich większych artystów z Paryża, Monachium i Wiednia do Pragi, Czesi utrzymują swoją szkołę sztuk pięknych tylko za składkowe pieniądze, bez rządowej pomocy. I w szkole tej kształcą i wykształcili już sporą garść artystów oraz pracowników na polu artystyczno-przemysłowem, jakiego my jeszcze wcale nie posiadamy. Tylko w ten sposób szczery i prawdziwie miłujący wszystko, co swoje, dojść możemy do rezultatów w tworzeniu sztuki polskiej. Dzisiaj sztukę polską tworzą aparaty migawkowe, za pomocą których większość naszych zagranicznych artystów zbiera swojskie typy i łany, aby na podstawie ich malować „polskie motywy“ — tak zagranicą pokupne! Dzisiaj trudno mi jeszcze przyznać prawdziwości istnienia sztuki polskiej, choć wierzę święcie w jej przyszły byt — do dzisiaj my publiczności, a ona nas nie rozumie, więc trudny jeszcze kompromis. Tem trudniejszy zaiste, że dziennikarstwo polskie, zajęte sprawami polityki, nic, ale to zupełnie nic nie czyni w celu pouczenia narodu o istnieniu sztuki, o jej potrzebie i o jej pracownikach. Jeżeli zaś prasa warszawska, pozbawiona swobody politykowania, coś w tej mierze czyni — to wygląda to więcej na reklamę robioną pewnym wyjątkowym jednostkom artystycznym, ale nigdy na popieranie celów ogólnych sztuki. Chwalić się i pawi ogon rozkładać pysznie — bardzo lubimy. Kochamy wszystkich artystów, którzy nic od nas nie potrzebują — szkoły krakowskiej nie pozwolilibyśmy zwinąć nawet za cenę przychylnego nam ministra oświaty, tylko pomagać sztuce i artystom nie możemy... bośmy biednym krajem... głosimy.

I dla tego o wielkości sztuki polskiej dowiadywać się musimy z „Moderne Kunst“, której redakcyi wyrazy prawdziwego uznania złożyć się należy za te słowa serdecznej protekcyi, jaką otoczyła naszych artystów i naszą sztukę w dewizie: „Jeszcze Polska nie zginęła!“

Roman Lewandowski.

Profile angielskie.

J o h n M o r l e y.

Nić sympatyi francuzko-angielskich silną jest, długą i trwałą. W zeszłym stuleciu sympatye te odegrały w dziejach rolę o wszechświatowej doniosłości i znaczeniu — i chociaż Edmund Burke nie chciał uznać W. Rewolucyi, to jednak głos ten pozostał bez echa w literaturze i nauce. Zobaczymy niżej, jak się odbywała ta wymiana „talentów“ angielskich na „literaturę“ francuzką: w jaki sposób Morley płacił za pośrednictwo zeszłowiecznych filarów francuzkich w sprawie zapoznawania Europy ze stosunkami angielskiemi. Zaznaczamy tylko teraz, że wpływ Taine'a wyraził się dość dobitnie w podtrzymywaniu starych tych dobrych tradycyi. Czytelnicy Bourgeta pamiętają dobrze owe piękne stronnice wspomnień oksfordzkich. Dziś raz jeszcze zaznaczyć nam przychodzi objaw tej najwyższej, bo literackiej i naukowej — a więc umysłowej przyjaźni. P. Augustyn Filon nie od wczoraj zaznajamia swych rodaków ze wszystkiem, co Anglia posiada znakomitego. I w swej niewielkiej „Historyi literatury angielskiej“ i w swych „Historykach angielskich“ złożył niemały kapitał i pracowitości użytecznej i zdolności krytycznych. Nie jest nazbyt głębokim ani też zbytnio namiętnym: jest prawdziwym stałym współpracownikiem „Przeglądu Dwu Światów“ — a więc człowiekiem szanującym się przedewszystkiem, przekonań „republikańskich“, wierzącym, słowem „correct“. Jest także płodnym: pisze lat dziesięć zaledwie, a już trzecią wydaje książkę. Zostanie z czasem członkiem Akademii.

Tom, który leży przed nami,*) zawiera monografie głównych bohaterów Izby Gmin. Raz po raz przed oczyma czytelnika przechodzą Lord Randolf Churchill wraz z demokracyą zachowawczą, to znowu Józef Chamberlain ze swym socyalizmem państwowym, to znowu staje przed nami potężny, acz cień już tylko, Parnell, to wreszcie John Morley.

Morley, zanim został mężem stanu, był krytykiem literackim i dziennikarzem. Jeżeli go zapytać, pod czyim rozwijał się wpływem, wskazuje na Stuarta Milla i Gladstone'a. Wiele zawdzięcza także pani Elliot. Urodził się w r. 1838; mając lat 20 został adwokatem: założył dziennik literacki; w r. 1867 Lewes oddał mu założony podówczas Fortnightly Review, z której Morley uczynił to, czem jest dzisiaj. Wbrew autorytetowi Stuarta Milla przekładał Goethego nad Schillera, ubóstwiał Emersona, owego „jedynego reformatora, który nie podniecа“. Charakteryzując Turgot'a mówi o mózgu niektórych wyjątkowych osobistości, jako o podporządkowującym sobie inne organy: „Znamy temperament, wcześnie zjedzony przez namiętność poznania przy nieustannej działalności w owem zaraniu życia umysłowego, które nie jest jeszcze przyćmione wulgarnemi potrzebami bytu, ani zamglone słabością myśli“. W innem znowu miejscu sam znakomicie charakteryzuje, do jakiego rodzaju umysłów należy: „Nam potrzeba światła, nie żaru“. Dwa były wielkie prądy — największe w życiu Anglii XIX w. — które nie pozostały bez wpływu na tworzenie się światopoglądu Morleya: ewolucyonizm i carlyle'izm. Ewolucyonizm — to tryumf wiedzy nad tradycyą i Kościołem, to znaczy także bezlitosna walka o byt, to znaczy również w interpretacyi City londyńskiej zwycięztwo sytego nad głodnym. Nigdy Anglia nie była tak bogatą. Precz z dogmatem — religijnym, czy moralnym, precz z wojną! Należało żyć szczęśliwym i patrzyć swych „business“. Carlyle'izm*) — to inna potęga moralna, która w życiu angielskiem wpływ wywarła poprostu magiczny i rzuciła daleko poza kanał La Manche fale jego... Morley przeszedł ogień i wodę jednego i drugiego. Przeszedł — nie znaczy to żeby stanął. Materyalizmowi angielskiemu przeciwstawił wrodzoną melancholią i wiarę w poprawę ludzkiej natury. Rzucił także „mędrca z Chelsea“ ponieważ ten nie wiedzie nigdzie, a Morley miał przed sobą dwa wielkie, tytaniczne cele: prawdę i wolność.

Prace literackie Morley'a za przedmiot swój mają ludzi i czasy W. Rewolucyi: jeden tom poświęcił Wolterowi i encyklopedystom, dwa zabrał Russeau, trzy wreszcie obejmują Turgot'a, rewolucyę, jej koryfeuszów i przeciwników. Czem jest Wolter? Przedewszystkiem nie jest sceptykiem, albowiem „nie było we Francyi nigdy prawdziwego sceptyka do Renana“. Wyobraża sobą pragnienie wiedzy, poznania

*) Profils anglais. Paris.

*) Por. monografię prof. Okolskiego, którą polecamy uwadze naszych czytelników (Lwów 1894).

---

pozostaje bowiem pytanie: D l a c z e g o właśnie owa krystalizacya w ten sposób się odbywa?

— No tak, dla czego?. dla czego, zapytaj pan o to Pana Boga chyba! Nie badajmy jednak tak daleko, gdyż w takim razie nigdy do żadnych nie dojdziemy rezultatów. Wieczne pytania „dla czego?“ — ty tylko dowody niemowlęctwa ducha ludzkiego; mój Boże, czyż jest powód obalać wszystko, dla tego, że natura nie dała nam możności pojmowania wszystkiego, że je w pewnych zamknięto granicach... Lecz odbiegłem daleko od tego, co powiedzieć zamierzałem; powtarzam raz jeszcze: jest pan do pewnego stopnia usprawiedliwionym; świadomość pańska należy bowiem do tych, które szybko i wiele wydzielają kryształów... lecz bez wewnętrznego związku!... Przyznam, że oprócz tego nie miałeś jakoś szczęścia, a także, ze surowiej ukaranym zostałeś, niż na to zasłużyłeś... Lecz... porzuć pan wszelkie narzekania; będąc na pańskiem miejscu, nie zazdrościłbym rywalowi twemu bynajmniej! Pomyśl pan tylko, jakiej okoliczności zawdzięcza on swoje zwycięztwo. Dalibóg, nie mam pojęcia jakiej formy krystalicznej jest jego dusza... sądzę jednak, że chyba nic przyjemnego kształtem swym nie przypomina... Lecz może zazdrość pańska tak jest wielką, że mimo wszystko życzyłbyś sobie na jego być miejscu? — spytał z uśmiechem.

Bergström milczał.

— Zazdrość jest namiętnością, która etc. etc. — zacytował po chwili, siadając na krześle.

Pauli uśmiechnął się.

— No, chwała Bogu, uspokoił się pan na tyle, że możesz już Schleiermachera cytować — rzekł — do tego trzeba rzeczywiście spokojnego umysłu. Cieszę się, że moje usiłowania przecie na coś się zdały. Nie zechciałby pan teraz zgodzić się ze mną, że na całe to zdarzenie patrzeć należy „d u h a u t e n b a s“. Na nic innego nie zasługuje, szczerze mówiąc. Ulokujmy je też w należytem od nas oddaleniu, nie ośmieszajmy się, my, jednostki prawdziwie wyższe! Z tego zaś patrząc punktu widzenia, możemy się nawet zabawić, gdyż sprawa ta, bądź co bądź, jest zajmującą; wiele z niej nauczyć się można o dziwnych losu kolejach, o bolesnych ciosach nemezys okrutnej... o słabości i głupocie ludzkiej, o ofiarach może... w końcu zaś dojrzymy siłę brutalną i blagę tryumfujące nad niewinnością i swobodą myśli i uczuć... żywy hymn na cześć prawa natury rządzącego światem. A wrodzony nam pessymizm i pogarda dla ludzi, jeszcze się wzmocnią i ożywią... Czego można żądać więcej? Wierzaj mi, że jedno takie doświadczenie więcej nauczy niż sto romansów przeczytanych.

Bergström zapadł w milczenie chmurne. Pauli spoglądał uważnie na swego sąsiada; siedzieli tak przez chwilę, nie przemówiwszy do siebie słowa. Wtedy doktór spojrzał na zegarek, a zobaczywszy która godzina, zerwał się z miejsca.

— Do licha! jak to już późno! — rzekł — zawsze tak bywa w miłem towarzystwie.

Z uśmiechem zbliżył się do Bergströma, który również powstał.

— Dostanę burę od mojej pary w domu za to, że spóźniłem się na obiad! — rzekł. — No, bądź pan zdrów... jakie to głupie, że nie mogę prosić pana do siebie — lecz pojmujesz...

Bergström dotkliwie odczuł złośliwą tę uwagę, lecz nic nie odpowiedział, tylko w milczeniu skinął głową.

— Ostatnie jeszcze słowo! — ciągnął dalej Pauli, ściskając dłoń Bergströma — pokaż mi pan, że niezupełnie usuwasz się od starego przyjaciela! Niedługo przecież zostanę sam w domu, a pańskim to będzie obowiązkiem zastąpić mi kochaną córkę, nieprawdaż?... chociażby z tytułu p o k r e w i e ń s t w a, że tak powiem... tak, pan najbliższy krewny... Stosunek nasz teraz do pewnego stopnia wyjaśniony, nie sądzi pan? No, bywaj zdrów! do widzenia.

Bergström ukłonił się zimno.

— Dziękuję! — szepnął — będzie mi... lecz nie dokończył, gdyż doktora nie było już w pokoju.

krytyki, dyskusyi, pragnienie nieznane zupełnie wiekowi poprzedzającemu. Wolter jest różny w każdej z trzech faz swego życia: w pierwszej rzuca nam zaledwie kilka liberalnych zdań w „Edypii". Kije lokajów de Kohan'a i Loche stworzyły drugiego Woltera. Nie wszystko było pięknem w Londynie. Walpole u szczytu swej potęgi, parlament zbezczeszczony, państwo skubane bezwstydnie przez dwór Jerzego I. Ale jednak parlament ten debatował nad sprawami kraju i on wyznaczał podatki. Byli ludzie, którzy mówili głośno. Literaci i uczeni bywali ministrami, a Swift z wygnania przypominał, co potrafiła naradzająca się potęga dziennikarstwa. Wpływ Anglii na Woltera trwał blisko lat dwadzieścia i ustaje około r. 1450. Pani du Châtelet umiera; rozstaje się z Fryderykiem, zamyka się w Ferney. Wreszcie trzęsienie ziemi w Lizbonie roztrzaskuje do reszty optymizm jego. Odtąd będzie już „Paskalem spadłym z czyśca do czeluści piekieł, Paskalem, który przeklina, ale nie „szuka" więcej — wyjąwszy dni, kiedy jest chory i kiedy powraca do Beyle'a: ten uczy ludzi, jak być szczęśliwym i mądrym, jak wątpić i żyć bez systemu, jak poznawać nie to, co jest, ale to, czego nie ma, jak cieszyć się nie z posiadania prawdy, ale z odkrycia błędu i kłamstwa". — Taine widział straszliwy błąd XVIII wieku w „jadzie W. Rewolucyi", t. j. w nadużywaniu bezwzględnego rozumu w sprawach polityczno-społecznych. Morley, aczkolwiek mówi również o „fałszywych zastosowaniach metod matematyki w zagadnieniach socyologicznych" — to jednak po dalekiej ekskursyi historycznej z całą przyjemnością powraca do znanego twierdzenia Tocqueville'a, że Rewolucya była koniecznem ogniwem w łańcuchu przyczyn i skutków historycznych. Ta zdolność właśnie oceniania i patrzenia wszechstronnego, to główny rys charakterystyczny Morleya-krytyka. I Comte bezwątpienia wpływał na młodego Morleya. Kiedy ten atoli później pisał o nim do „Encyclopaedia Brytannica" — oto jak zsumował sąd swój o papieżu pozytywizmu francuskiego. „Wrogowie Comte'a ułożyli formułę: *Comtayzm — katolicyzmowi — chrystyanizm*; przyjaciele jego odpowiedzieli formułą: *Comteyzm — katolicyzmowi — wiedza*. W istocie rzeczy jest comteyzm niczem więcej, jeno utylitaryzmem przyozdobionym w fantastyczne dekoracye. Odwrócić tylko decorum: niemasz comte'yzmu, utylitaryzm istniał bowiem zarówno przed, jak i po nim". Innemi słowy cała oryginalność Comte'a ma się znajdować w części jego systemu najbardziej wątpliwej. Tutaj kończy się praca czysto literacka Morley'a.

Z książką zatytułowaną „On compromise" wchodzimy już do publicystyki. Minęło już półtora wieków od Woltera i Encyklopedii. Dziwnem wydaje się Morley'owi, że światopogląd dawny jak poprzednio, tak i teraz panować nie przestaje. Czyliż — pyta — nie czas jeszcze, ażebyśmy mówili jak myślimy, postępowali jak mówimy i piszemy? Czyliż nie wybiła jeszcze godzina utworzenia społeczeństwa, odpowiadającego danym nauki, jak niegdyś chrystyanizm urobił je za pomocą swych dogmatów? Czyliż tyrania zwyczaju ma być silniejszą, aniżeli kiedykolwiek były prawa i nakazy. Jak więc przystąpić do tych wielkich zmian? Filozofia ustami Spencera głosi, że „kompromis" jest w naturze rzeczy; jest nim rezultat sił różnych działających jednocześnie. I Morley przyjmuje tę doktrynę. Pewien wielki pisarz marzył o krzyżu na szczycie wieży Eifla. I Morley w ostatniej części swej książki szkicuje religią przyszłości i ukazuje nam „legendę łaski i litości ucieleśnioną w nowej i szerszej ewangelii, do której chrystyanizm dostarczy materyałów: zupełnie bowiem analogicznie wiara stuleci naukowych powstanie z wiary chrześciańskiej, jak ostatnia powstała z żydowskiej. Nie obędzie się atoli bez walki: nowa wiara, wyklęta przez matkę swą, ogłosi jej wojnę na śmierć i życie"...

Ze studyami nad Burke'm, do których następnie (1889) przyłączyła się praca nad Walpolem, Morley rozpoczął swój żywot polityczny. Właściwie datuje się to od maja 1880 r., t. j. od chwili, kiedy objął redakcyę „Pall Mall Gazette'y. Zauważmy, że dziennik ten był innym w tym czasie i dopiero później stał się sławnym skandalizowaniem stosunków arystokracyi angielskiej. Wtedy to Morley wielkim krokiem przesuwał się od prasy peryodycznej (Tortnightly Review) do prasy bojowej. Kwestya, która go najbardziej zajęła, to wieczna bolączka angielska — Irlandya. Morley-historyk już był dawno sobie utworzył pogląd na tę sprawę. Siedm wieków okrucieństwa i rozboju, to dosyć, ażeby po nich nastąpił jeden chociażby skruchy i dobrodziejstwa. Ale z drugiej strony Irlandya skompromitowała swą sprawę przez fenjanizm t. j. równy angielskiemu rozbój i okrucieństwo. Jeszcze w roku 1880 w manifeście wyborczym nie uważał kwestyi irlandzkiej za godną, ażeby została kwestyą dnia partyi liberalnej. Ale pogląd ten zmienił się prędko i zmienił się w biurze redakcyjnem „Pall Mall Gaz." czyli jak mawiał Morley w „gabinecie wiwisekcyi społecznej i politycznej". Zapoznał się z przywódzcami irlandzkimi, odbył kilka podróży po „zielonej wyspie", starając się przedewszystkiem zrozumieć system terytoryalny, który skazuje na nędzę właściciela i rolnika. Wreszcie przyszła chwila, kiedy uznał za obowiązek moralny i konieczność polityczną ofiarować Irlandyi to, czego żądała. Jeszcze przed billami Gladstone'a stawał w obronie praw irlandzkich; po rozprawach lutowych stawał się on, zupełny homo novus, traktowany dotychczas, jak zwykle ideolodzy bywają traktowani przez ludzi czynu — stawał się jedną z najwybitniejszych postaci partyi liberalnej. Na jednym z olbrzymich meetingów nazwał go jeden z słuchaczy: you're the man for Ireland! (ty jesteś człowiekiem Irlandyi). To przezwisko, które może śmiało, jeśli nie więcej, stawać obok „Zdobywcy" (William the Conqueror) i „Lwiego serca", przyjętem zostało huraganem uznania i przejdzie do historyi.*) Kiedy później nastąpił zwrot prawdziwie tragiczny w dziejach tej kwestyi, kiedy zginął tak przedwcześnie Parnell, Morey pozostał niewzruszonym. Rok temu mówił do swych wyborców z Newcastle: „Cokolwiekbądź się stanie, my pozostaniemy wierni swym przyrzeczeniom. Irlandya złożyła w nas swoje nadzieje; nie zawiedzie się. Godzina jest krytyczna, objawy są groźne — nic z tego. Zwyciężeni albo zwycięzcy walczyć będziemy do końca. Kiedy dym, kurzący się dzisiaj w walce na ziemi irlandzkiej rozejdzie się, ujrzycie znowu przyjazne ognie na brzegu angielskim". A kiedy pytano go: A cóż, jeźli umrze Gladstone? — odpowiedział żywo: Gladstone nie umrze. Może ma racyę: boć jeżeli umrze Gladstone, pozostanie... Morley.

*) Przypomnijmy sobie tylko zwycięzkie pochody po Irlandyi w początkach r. 1888 i do Tipperary we wrześniu r. 1890.

Zen. Por.



Bebel a Vollmar.

Kiedy przed laty wrzała między Beblem a Vollmarem walka na temat państwowego socyalizmu. zdarzyło się wówczas, że Brandes odwiedził obu wodzów, rozmawiał z nimi, a następnie skreślił ich sylwetki.

Nie od rzeczy — zdaje się nam — będzie, jeśli wobec mającego się niebawem odbyć zjazdu socyalnej demokracyi we Wrocławiu, przytoczymy bodaj w wyjątkach to, co o nich Brandes napisał, tem bardziej, że sylwetki te są zbyt mało znane.

Obaj ci mężowie — powiada Brandes — są mężami najbliższej przyszłości. Liebknecht bowiem, ów stary rewolucyonista z r. 1848 nie może być brany w rachubę, gdyż nosi na sobie piętno przeszłości. „Młodzi" zaś, czyli t. zw. niezawiśli socyaliści, jak Bruno Wille i Wilhelm Werner, jakkolwiek grubo nadszarpali powagę i „nieomylność" Bebla, to jednak nie potrafili jeszcze dotąd zdobyć wśród mas takiej jak on popularności. Bebel i Vollmar zajmują dominujące w obozie socyalistycznym niemieckim stanowisko, a charakterystyczniejsze to tem bardziej postacie, że przez długi szereg lat byli ścisłymi towarzyszami broni i dopiero r. 1891, kiedy chodziło o taktykę partyjną, uczynił z nich wrogów.

„Bebel — mówi Brandes — były tokarz, urodził się w r. 1840, Vollmar zaś, były oficer kawaleryi w r. 1850. Pierwszy pochodzi z rodziny rękodzielniczej, drugi ze starej rodziny szlacheckiej. Pod względem jednak duchowym obaj są uczniami Marksa.

A dalej kreśli Brandes w następujący sposób sylwetkę Vollmara.

„Gdy Vollmar składa komuś wizytę, to odbywa się ona w ten sposób, Najpierw zjawia się na progu żona jego, jedna z najczarowniejszych cór Szwecyi, i zapytuje, czy się przyjmuje odwiedziny. Tymczasem Vollmar oczekuje w powozie. Jest chory na nogi i dla tego stara się unikać fatygi chodzenia po schodach. Kiedy w roku 1870 jako porucznik

---

I wrócił do swej madeiry.

* * *

Niedługo potem, powziął on myśl szczęśliwą dokonania odważnego na sobie eksperymentu: postanowił odbyć sam podróż do Walii i gór szkockich — tam, gdzie zamierzał pojechać po ślubie wraz z Engelką. Podróż taka, sądził, najwyraźniej przekonać go zdoła, czy kocha ją jeszcze, czy też nie; wszak cieszył się tak na myśl, że z nią razem podróż tę odbędzie!...

Tak więc udał się sam i ku wielkiemu zadowoleniu zauważył wkrótce, że tęsknota za nią, na drugi plan zeszła w jego świadomości. W pierwszych dniach odczuwał ją silnie, zapewne jednak wskutek sztucznie podsycanego sentymentalizmu, lecz znikała ona jak rosa przed ciepłemi słońca promieniami, w miarę zagłębiania się i rozkoszowania pięknemi widokami natury, które go zewsząd otaczały. Tak! to pewnie czyste, ożywcze tchnienie przyrody duszę jego uzdrowiło, acz grunt poprzednio już był przez byłego teścia przygotowanym: on to przyrządził dlań lekarstwo z pigułek prawdy gorzkiej i rozumu... a skutek lekarstwa nie był też bez znaczenia. Któremu z dwu tych zbawiennych wpływów większą winien był wdzięczność, nie wiedział jeszcze, — lecz prawdę mówiąc. mało go to obchodziło. Był zdrów, a to najważniejsze. Podróż pod każdym względem była znakomitą, a w drodze powrotnej mógł nawet przyjemny skonstatować fakt, a mianowicie, że zwiedził dwa razy tyle aniżeli gdyby był zabrał ze sobą Engelkę.

Zdrów więc i zadowolony powrócił w jesieni do swego rodzinnego miasta. Przypadek zrządził, że pierwszą parą ludzi, których na ulicy spotkał, byli Engelke i Nörgaard. Milcząc szli obok siebie, zbliżając się ku niemu po drugiej stronie ulicy.

Bergström przyglądał się im ciekawie: Nörgaard utył, jak mu się zdawało, nabrał trochę wyglądu księdza, lecz wyraz jego twarzy zupełnie był niezmienionym. Wzrok ostry skierował na Bergströma, gdy przechodzili. Engelke wydała mu się jeszcze smuklejszą, więcej jeszcze delikatną, Z poważną miną kroczyła śmiało naprzód; nie zauważyła go wcale.

Bergström przystanął gdy przeszli i patrzał za nimi z uśmiechem z lekka potrząsając głową...

KONIEC.

prowadził oddział przez Loirę w pobliżu Blois, został ranny wystrzałem z karabinu i spadł z konia tak nieszczęśliwie, że obie nogi złamał. Złamania okazały się jako nieuleczalne. Przykre sprawia wrażenie, gdy się po raz pierwszy spostrzega człowieka olbrzymiej budowy, wlokącego o kulach swe bezwładne członki po schodach. Kiedy jednak stanie w pokoju, wyprostowany, wówczas poprzednie wrażenie znika zupełnie i widzi się przed sobą człowieka o niezwykłej i niespożytej sile.

On i jego małżonka stanowią dziwną parę, dwoje zupełnie odmiennych ludzi, między którymi panuje jak największa harmonia. Ona średniego wzrostu, spokojnego usposobienia, uczuciowa, cała jej istota to jeden akord, on wspaniałego wzrostu, nader głośno, za głośno mówiący, pełen werwy młodzieńczej, cała jego istota to fanfara. Co za piękny widok, gdy oboje siedzą obok siebie, a jej ręka tonie w jego dłoni!

Jako socyalista potrafi dojść Vollmar aż do doktrynerstwa, zresztą jest człowiekiem wielostronnej wiedzy, nie jest sangwinikiem, nie jest w wysokim stopniu optymistą, tak jak to zwykle u agitatorów się zdarza. Już ta okoliczność, że rozporządza wiadomościami najrozmaitszego zakresu wiedzy i wszystkie studya duchowe przeszedł, ma więc bystry pogląd na rzeczywistość i posiada tę duchową zwinność, która na tem polega, że tak w mowie jak i w piśmie zawsze zwraca się do innej klasy społecznej, aniżeli do tej, do której on należy.

Mnisi Benedyktyni augsburscy kierowali jego wychowaniem. W r. 1865 został chorążym a w r. 1865 odbył kampanią przeciw Austryi. Po zawarciu pokoju udał się do Rzymu. Tu z zapałem występował w obronie Kościoła katolickiego i z zamiłowania do stanu wojskowego wstąpił jako oficer do wojska papiezkiego. Kiedy jednak w roku 1870 wybuchła wojna francusko-pruska, wrócił Vollmar do Bawaryi. Wziął udział w walce, został ranionym i okaleczał. Pozostając przez długi czas pod opieką lekarską, z zapałem studyował przeróżne gałęzie wiedzy, tak, iż w krótkim stosunkowo czasie rozporządzał znacznym jej zasobem, był znawcą języków, sztuki, wtajemniczony w matematykę i ekonomię. W r. 1876 objął redakcyę jednego z pism socyalistycznych. Dostał się do więzienia, wyszedł, następnie znowu dostał się za kratki, znów wyszedł i znowu się dostał, aż wreszcie pismo jego zostało zgniecione. W więzieniu poświęcał się nauce tak jak w szpitalu. W r. 1881 został wybrany do rajchstagu i od tego czasu, odliczywszy chwile więzienia, był czynnym jego członkiem.

Tak się wyraża Brandes o Volmarze.

Bebel dla Brandesa jest zupełnym kontrastem Vollmara. Jest człowiekiem — jak mówi — monolitem, bez najmniejszej rysy. Mimo to, że wiele przeszedł, wygląda na swe lata młodym, średniego wzrostu, blondyn, niemal delikatny, posiada wzrok bystry, energiczny, silny, niemal rozkazujący głos. Jest zasobnym w wiedzę autodydaktem, wszystkich żywotnych spraw świadom, któremu brak tylko jednej gałęzi wykształcenia, a mianowicie towarzyskiego sposobu prowadzenia rozmowy o rzeczach, nie mających praktycznego celu. Jest głęboko poważnym i aż do głębi wierzącym, ognistym w tym stopniu, na jaki tylko mownica pozwala a nie salon, pełen tej wiary, w przyszłość swej sprawy, nieprzyzwyczajony w życiu prywatnem natrafiać na opozycyę, ani jej nie znoszący. Dzierży swój ciężki miecz z całą pewnością siebie, a jednak napadnięty lekką szabelką, nie potrafi się swym mieczem dostatecznie obronić... Bebel, to typ jednego z pierwszych chrześcian, którzy spodziewali się każdej chwili spełnienia swych pragnień o królestwie tysiącletniem. Za pięć, za sześć lat, prawdopodobnie nim jeszcze ten wiek zapadnie, spodziewa się Bebel zupełnego upadku społeczeństwa burżuazyjnego. Nie znosi by jego to zapatrywanie chrzcić nazwą „marzenia". Jest święcie przekonany, iż nie ma człowieka, któryby rozsądniej myślał i obliczał jak on. Jego sposób myślenia jest n. p. następujący: W tej chwili w mocarstwach Europy stoi 14 milionów ludzi, gotowych na pierwsze skinienie mordować się. A to jest tylko cząstką, bo mocarstwa te mogą zmobilizować daleko większe masy. Same Niemcy i Francya wystawiają do boju 9 milionów wojska, a gdzież jeszcze Rosya, a Austrya, a Włochy? Wielka wojna sprowadzi ogólny krach. Z wybuchem wojny wybuchnie w krajach tyfus głodowy, okaże się niemożliwość zaspokojenia takiej liczby wojska w chleb. Doskonałość broni spowoduje zaraz z początku tak olbrzymie straty w ludziach, jak nikt o tem pojęcia nie ma. Żaden kraj nie ma szpitali, w którychby rannych mógł pomieścić, żadne wojsko nie będzie w stanie swych zabitych pogrzebać. I wtedy to powstaną ludy i sprowadzą upadek starego porządku rzeczy. Wskutek starcia się Rosyi z Niemcami, Niemcy staną się dobrodziejami, wybawcami Rosyi. Co się tyczy reprezentantów starego porządku, to nie zajdzie potrzeba, aby im czynić co złego, można będzie ich całkiem spokojnie wywieść do Afryki, albo do jakiego innego kraju. W tem przerwał ktoś Beblowi: „Ale zwycięska wojna oznacza zawsze reakcyę; gdy my zwyciężymy, to masami pociągniemy „Pod lipy" i śpiewać będziem: „Wacht am Rhein". Na to Bebel: Być może, że sama będzie melodya, — ale wierz mi pan, tekst będzie inny".

Całych pięć lat przesiedział Bebel w więzieniu. I ten zasób wiedzy teoretycznej, którym rozporządza, wówczas sobie przyswoił. W ruchu robotniczym począł brać udział mając lat 22. Pełen zapału i energii wkrótce wszedł w grono przywódzców robotniczych. Przez lat 20 nieprzerwanie jako najwyższy przywódzca partyi zasiada w rajchstagu i widzi zwiększającą się ciągle liczbę zwolenników, zwiększającą się potęgę obozu socyalistycznego. Z początku, gdy począł brać udział, partya liczyła tylko tysiące wyborców, dziś liczy miliony. Ustawa kagańcowa wzmogła tylko siły partyi.

Tak wszystko co człowiek ten widział i przeżył, działało w jednym kierunku. Ukształtowało się to wszystko co się nauczył i w co wierzył, we wiarę. Każda klęska, której doznał, obracała się w końcu ku szczęściu. To zwiększyło jego wiarę i siłę woli, zwątpienia jednak i krytyki rozwinąć w sobie nie potrafił.

To sylwetka Bebla wedle Brandesa.

Gdybyśmy sobie obecnie postawili pytanie, którego z nich, czy Bebla czy Vollmara stawia Brandes wyżej, to znaleźlibyśmy odpowiedź jego następującą:

„Gdy ustawę kagańcową zniesiono, nastręczyło się pytanie, jaką nową taktykę należy obrać wobec zmienionych stosunków. W mowie swej wygłoszonej w Monachium 9 czerwca 1891 roku, zaznaczył Vollmar, iż dotychczas (t. zn. do r. 1891) socyaliści tworzyli sektę, obecnie jednak powinni stworzyć partyę polityczną; zaniechać należy zadowolniania się ogólnymi rezolucyami a chwycić się pracy praktycznej celem wywalczenia koniecznych i dających się osiągnąć praw. Mowę tę Vollmara pojęto jako „zrzeczenie się ideału". Bebel wydał wojnę Vollmarowi i zażądał na kongresie erfurtskim (14—21 paźd. 1891) wykluczenia go z partyi. Była to polityczna próba sił, przyczem jednak przyjaźń między oboma w niczem nie ucierpiała. Podczas gdy bowiem na zewnątrz występowali jako zapaśnicy, to tymczasem rzeczy i meble nieobecnego w Berlinie Vollmara złożone były w mieszkaniu Bebla. Wywodom Vollmara nie mógł Bebel sprostać i w rozstrzygającej chwili przerzuciły się zastępy robotnicze na stronę Vollmara. Vollmar utrzymał swe stanowisko w partyi i nastąpiło pogodzenie się między obu zapaśnikami. Tak więc taktyka wzięła górę nad przekonaniem, krytyka miała więcej wpływu jak wiara optymistycznie usposobionego przewidywacza". *Monitor.*

Ze Szląska Polskiego.

(Niesłuszny zarzut. — Rzut oka na prasę polską na Szlązku. — Wycieczka do Poznania. — Umyślnie, czy przypadkiem? — Kupujcie u swoich! — Czy można polskie wyroby na Szląsk wprowadzić i w jaki sposób?)

Ciężki zarzut przesyła Górny Szląsk reszcie kraju przez usta swego poety Czesława Lubińskiego w pieśni „Pędzą jak na skrzydłach lata", słowami:

Właśni bracia nas rzucili,
Którzy wołać nas uczyli:
Kochajmy się, kochajmy się!

Nie ze wszystkiem na zarzut ten godzić się można. Podobnie jak Piastowie szląscy przed wiekami nie zostali porzuceni przez swych ziomków, lecz oni raczej nietylko, że się od swych braci odczepili, ale nadto przez wzywanie pomocy cudzych ludzi przeciw reszcie kraju stali się zależnymi od Niemców a w końcu ich poddanymi, tak i obecnie nie prędzej będzie lepiej na Szląsku, dopóki Szląsk sam się z uścisków opiekunów niemieckich na dobre nie wydrze.

W miarę tej emancypacyi zjawi się i pomoc rodaków, lecz dopóki my sami nie złamiemy stalowych obręczy niemieckości, dopóki śmiało słowem i czynem nie zaprosimy braci naszych do wielkiej pracy nad dziełem odrodzenia, dopóki nie przestaniemy spoglądać na Polaków z nad Wisły i Warty z pewnem uczuciem nieufności i ambarasu — drżąc przed gromem niemieckich potentatów, — dopóty ziomkowie nasi z innych dzielnic kraju nie znajdą odwagi do energicznego współdziałania z nami. Toż na dnie duszy polskiej drzemie jakaś ambicya, by nie odegrać roli natrętów.

Powtarzam zatem, że i na nas Szlązakach ciąży obowiązek zapraszania do siebie reszty braci i to nietylko słowem, lecz czynem przedewszystkiem a taka akcya dziś jeszcze nie dość wyraźnie u nas się ujawnia.

Zwierciadłem ludu jest zawsze jego prasa. Spojrzyjmy na prasę polską na Górnym Szląsku. Najwięcej rozpowszechnionem pismem u nas jest „Katolik" bytomski, wychodzący w liczbie coś około 17—20,000 egz. Kiepska polszczyzna i kierunek niewyraźnie polski, czyni z „Katolika" coś w rodzaju po polsku pisanego organu niemiecko-katolickiego stronnictwa centrum. Bezwiednie bowiem, czy z rozmysłem głosi „Katolik" stale zasługi centrum około polskości, a tylko party przez lepsze jednostki, powtarza lakonicznie raz po raz nadesłane mu notatki odnoszące się do spraw narodowych. Wielka jak na tutejsze stósunki liczba abonentów dowodzi, że kierunek ten jest dobry dla wydawnictwa w znaczeniu *„popłatny"*.

W tym samym duchu redagowany jest ilustrowany tygodnik polityczny, literacki i t. d. „Kronika tygodniowa" w Mikołowie. Z pomiędzy pism szląskich wyróżnia się „Kronika" korzystnie oryginalnemi korespondencyami z Bochum w Westfalii i Poznania, — za to przeglądu spraw szląskich braknie tam całkowicie. Korespondent szląski bowiem niechciał, czy nie umiał dość lojalnie pióra swego na wzór kolegów z Poznania i Bochum zaokrąglić, jak tego wymagała redakcya.

„Nowiny Raciborskie", pismo aż do niedawnego czasu na wskroś narodowo polskie, przygnębione zostało prześladowaniami, a redaktor i wydawca K. Maćkowski zmuszony został karami pieniężnemi i więziennemi do sprzedania „Nowin" p. Eckertowi, dawniejszemu współpracownikowi „Katolika". I p. Eckert, odsiadujący obecnie jeszcze 7-tygodniową karę więzienną, zabrał się zrazu sumiennie do pracy w kierunku swego poprzednika. Dziś atoli znękany niepowodzeniem i prześladowaniami, a przedewszystkiem opuszczony od tych, którzy jedynie mogliby i powinni go wesprzeć, upada na duchu i traci to zacięcie narodowo-polskie, które było niegdyś znamienną cechą „Nowin".

„Gazeta Opolska" powoli lecz wytrwale pracuje dla dobra sprawy polskiej. Dość przypomnieć, że w Opolskiem wybrano w r. 1894 pierwszego posła polskiego do parlamentu, p. majora Szmulę i że dokonano tego wbrew narodowcom niemieckim i stronnictwu centrum jedynie dzięki zabiegom „Gazety Opolskiej".

Ale cóż znaczą owi 2500 czytelników gazety wobec 20,000-nej armii „Katolika"? Garstce inteligencyi i ludu poczynającego czuć po polsku, a skupionemu około „Gazety" i „Nowin", dojada niemczyzna na każdym kroku, a większość ludu polskiego pod batutą „Kato-

lika" patrzy się na to z miną bogatego gbura, oceniającego wszystko podług wagi trzosa.

Wycieczka Szląska do Poznania dość liczna, jeżeli się uwzględni dziwnie obojętne a nawet nieprzychylne traktowanie tej sprawy przez „Katolika", dowodzi, że o łamaniu lodów w pewnych okolicach już mówić nie potrzeba.

Towarzystwo katolicko-polskie w Opolu, od którego wyszła myśl urządzenia wycieczki do Poznania, uchwaliło wysłać odnośną odezwę i do „Katolika", a na przypadek nieogłoszenia jej w części redakcyjnej, ogłosić ją *w części inseratów za opłatą*. Uchwała ta dowodzi, z jakim niedowierzaniem zbliża się lud po polsku czujący do „Katolika", a że niedowierzanie to nie było tak całkiem nieuzasadnione, stwierdził sam „Katolik", ogłaszając nadesłaną mu odezwę gdzieś pomiędzy wiadomościami potocznemi bez słowa zachęty od siebie i bez najmniejszego objaśnienia — owszem, zacierając rzecz samą umyślnie czy przypadkiem błędami drukarskiemi. W nr. 96 pisze bowiem:

„Pieniądze (na zniżoną cenę biletu kolejowego) trzeba przesłać natychmiast do Opola; trzeba jechać na własną rękę"

zamiast

„Pieniądze trzeba przesłać natychmiast. Do Opola (z dalszych stron) trzeba jechać na własną rękę".

Charakterystycznem jest i to, że związek wzajemnej pomocy chrześcijańskich robotników w Bytomiu w tym samym numerze ogłasza zebranie, a Towarzystwo Górnoszląskich Przemysłowców w Bytomiu zabawę latową połączoną z koncertem i śpiewami na cztery głosy na 18go sierpnia, tj. na dzień wycieczki szląskiej do Poznania. Na czele jednego i drugiego Towarzystwa stoją, o ile nam wiadomo, współredaktorzy „Katolika". Przypadek to i nic więcej, lecz nie mniej osobliwy.

Tak bardzo pożądane zbliżenie się Szląska i Wielkopolski, zapoczątkowane wycieczką szląską do Poznania, dokonane być może we większym niż dotąd stopniu na podstawie ekonomiczno-materyalnej. Wystawy w Poznaniu nie często się odbywają, lecz wiarusy szląscy daleko częściej potrzebują różnych przedmiotów, począwszy od książki aż do machin parowych, które i tak sprowadzać muszą.

Eksport Szląska, prawie wyłącznie w niemieckich rękach się znajdujący, mniej nas może obchodzić. Natomiast z importem szląskim, a przedewszystkiem z importem Górnego Szląska zapoznać nam się potrzeba. Hasło: „Kupujcie u swoich" nie traci na wartości dla tego, że na Szląsku nie ma pod dostatkiem polskich fabrykantów i kupców. Niech tylko kupcy i fabrykanci z Wielkopolski i Galicyi umieją wyzyskać to, co jest, a wytworzyć z czasem to, czego nie ma, a co być powinno koniecznie. Zakładajcie filie, agentury, starajcie się o zastępców i podróżujących na Szląsku! Nie zapoznaję najmniej trudności z tem połączonych, lecz wierzę, że trudy te materyalnie się opłacą, a dla odrodzenia się Szląska błogie przyniosą owoce.

Księgarnia Katolicka z Poznania utrzymywała w Królewskiej Hucie przez długi czas księgarnię, a nawet pismo peryodyczne tam wydawała. Nie wiem, aby coś na tem przedsiębiorstwie była przytraciła, a jeżeli się to stało, to chyba wskutek nadużyć dysponentów, co wszędzie zdarzyć się może, a czego na karb Szląska pisać nie wolno. Pewna fabryka maszyn w Poznaniu obawia się wyroby swoje na Szląsku polecać, ponieważ według jej przekonania nie może konkurować z fabrykami szląskiemi, które mają surowy materyał na miejscu, podczas gdy ona musi węgiel i żelazo sprowadzać z daleka, a jej wyroby musiałyby być wskutek tego na Szląsku drożej sprzedawane o cenę podwójnej przesyłki, bo surowca i gotowego wyrobu. Jest to może dedukcya uczciwego człowieka, lecz nie przedsiębiorcy i kupca. Nie wiem, czy robotnik w Poznaniu nie jest tańszy, niż w Bytomiu i Wrocławiu, nie wiem również, czy fabryki niemieckie na Szląsku, nie mając konkurencyi polskiej, są podobnie uczciwe i istotnie ze względu na mniejsze koszta transportu taniej sprzedawają, lecz to wiem na pewne, że fabrykanci z Nadrenii, Berlina i Bóg wie zkąd, niezłe tu robią interesa mimo, że ich koszta transportu nie są mniejsze niż kolegów poznańskich. Być może, że w branży maszyn nie mamy dotąd dość ludzi, którzyby na wzór wrocławskiej filii N. N. z Buckau-Magdeburg mogli na Szląsk warsztaty swe rozprzestrzenić, lecz do wszystkich gałęzi naszego przemysłu stanowczo tego zastosować nie można. Trudno mi na poczekaniu wymienić, gdzie i kto mógłby znaleść odpowiedni kawałek chleba, lecz wkrótce postaram się o dokładniejsze informacye i podzielę się niemi z czytelnikami „Przeglądu".

Tymczasem niechże kupcy i fabrykanci, którzy mogą pomyśleć o zdobywaniu nowych pól zbytu dla swych wyrobów, sami się z próbkami na Szląsk wybiorą, aby zbadać sprawę. Sprzedadzą bez wątpienia tyle przynajmniej, że im podróż się opłaci, a powoli podróże te albo systematycznie wejdą w życie, albo znajdą się tu na miejscu odpowiednie siły, które przyjmą zastępstwo stałe.

Chm.

NA WYŁOMIE.

(Wąż morski — Niespodzianki. — Sedan a Polacy. — Katastrofy w teatrze.)

Gdy przed trzema tygodniami opuszczałem szranki Przeglądowe, zalegała miasto i prowincyę owa cisza głęboka, z której zwykle wychyla paszczę potworną — „wąż morski". Więc gdy lokomotywa unosiła mnie tam, gdzie „z gwiazdami na szyszakach i z proporcem obłoków" wznoszą się kolumny szczytów tatrzańskich, układałem w głowie fantastyczne legendy o przerażającem zjawisku natury, co to łeb ma jak trzypiętrowa kamienica, zęby tak wielkie, że zadrżałyby obcęgi w palcach najtęższego dentysty poznańskiego, a paszczę tak olbrzymią, że trzech najgrubszych redaktorów poznańskich mogłoby tam wygodnie odbyć pojedynek na pięście. Ot! myślałem sobie — gdy tam w Poznaniu łamią sobie głowy, czem zapełnić łamy „Przeglądu" i ożywić sennych czytelników w ogórkowym czasie, zoologia moja stanie się zbawieniem. Gęsi ocaliły Kapitol, „wąż" uratuje panów redaktorów.

Lecz nagle w dalekiem ustroniu podhalskiem zjawiły się na skrzydłach telegrafu jakieś dziwne wieści z Poznańskiego. Zrazu głuche pogłoski, szerzące popłoch w gronie letników i turystów, potem przerażający krzyk oburzenia i wojenne larum, potem... potem... wiecie co się stało. Wojna o Mileszewy zelektryzowała całe społeczeństwo, i panów redaktorów, szukających napróżno w głębinach kałamarzów sensacyjnych tematów, wybawiła z kłopotu. Bolesny ratunek! — wąż mój w tece pozostał. I rzecz dziwna! W ślad za Mileszewami posypały się jak z rogu obfitości roje wypadków i wypadeczków na puste stoły redakcyjne. Przyjazd Górnoszlązaków, polemika „Kuryera" z dzielnym redaktorem „Gazety Opolskiej", manifest małego Włodzia przeciw wielkiemu panu Franciszkowi, premiowanie wystawców poznańskich i gorzkie łzy pokrzywdzonych, wreszcie zjazd aptekarzy, polskie chorągwie na obchodach Sedanu, wojna o zmianę napisu „Naród sobie" na „Naród Niemcowi" w kamienicach „Pomocy" i radykalny przewrot w teatrze poznańskim. Ani słowa! Menu feljetonowe wyśmienite, ale lękam się, że spożycie całej litanii paprykowych przysmaków naraziłoby żołądki czytelników moich i dla tego usuwając tuzin półmisków z pieczystem faktów dokonanych, zwracam się od razu do tego, co się dziś jeszcze nie stało, co żadną miarą stać się nie powinno, co cofnąć trzeba z półdrogi, — mówię o Polakach święcących tryumf sedański. Dziwne to słowo! Gdyby ktoś przed 10 laty był mi powiedział, że polskie chorągwie pochylą się przed krwawą pamiątką pruskiego zwycięztwa, — gdyby ktoś przysięgał mi, że polskie towarzystwa i cechy staną do pochodu, gdy naród niemiecki święcić będzie jubileusz tej chwili, z której wyrosła żelazna potęga cesarstwa a z nią razem bicz na Polaków, — gdyby ktoś ukazał mi widmo ojczyzny, święcącej pamięć historycznego momentu, z którego za krew polską, przelaną na polach Sedanu, wyłoniło się hasło „Ausrotten", możebym śliną w twarz cisnął oszczercy i wołał głośno, że kłamcą ten, kto mój naród oskarża, że kark swój schyla tak nisko i depcze honor nogami. A dziś wieść się pojawiła w łamach dzienników poznańskich, a ja nie znalazłem odwagi wątpienia. W ostatnich latach życia naszego rozegrały się takie orgie lojalizmu i tak często w prochu tarzała się cześć narodu, że wyszarpano mi ogrom wiary w dumę społeczeństwa i rozpętano sceptycyzm. Tak! grają dzwony w uczciwszych pismach na trwogę i nie jest fałszywym ten alarm. Są miasta w Księstwie Poznańskiem i w Prusach Zachodnich, gdzie polskie sztandary mają się pochylić przed pomnikiem pruskiej potęgi, gdzie polscy obywatele cześć postanowili krwawe wawrzyny Moltków i Bismarcków, gdzie nawet „Sokół", ptak dumny, w proch się chce poniżyć przed tryumfem Sedanu. Prowincya prześcignęła w lojalnych czołobitnościach stolicę poznańską i kierowana gdzieniegdzie drżącą ręką tchórzliwych amatorów świecidełek orderowych, utylitarnych fabrykantów grosza lub wyuzdanych szermierzy „nowego kursu" zgasiła wstydu rumieńce i błogosławi ten bicz, który nad uchem jej świszczy. Jest jednak w tej chmurnej nocy, ogarniającej społeczeństwo nasze, promień jasny, budzący otuchę — bo oto! na straży honoru narodowego stanęła cała prasa polska, i chyba jeden „Kuryer Poznański" da może poklask korybantom Sedanu.

Jeżeli sądzą, że taki hołd im zaszczyt przyniesie, niechaj zawrą uroczyste przymierze z społeczeństwem niemieckiem i niechaj się pieszczą uśmiechami tego, którego okrzyk: „Pereat Kościuszko" brzmi nam jeszcze w uszach i zmiesza się, nie dziś to jutro, z błogosławieństwem Sedanu. I więcej jeszcze! Kuryerowy Domarat rozkrzyczy w „Czasie" krakowskim ich „polityczną trzeźwość i dojrzałość", a maleńki Włodzio napisze z tego powodu autobiografią p. t. „Purchawka" i zadedykuje ją „als Jubiläumsgabe" żelaznemu księciu.

Dwadzieścia pięć lat od chwili Sedanu, — srebrzysta liczba w wawrzynów niemieckich girlandzie; — 13 lat od dnia objęcia rządów teatralnych przez p. Dobrowolskiego — feralna cyfra w żałobnej obwódce. Oznacza ona — z winy czy bez winy kierownika — powolny upadek teatru, nieoględne roztrwonienie „żelaznego funduszu" i bezustanne widmo ruiny. A dziś, — dziś ta nieszczęsna trzynastka mówi nam głosem żałosnym, że pan dyrektor rozproszył na cztery wiatry najwybitniejsze siły sceny poznańskiej, że ani Sosnowski, chluba dramatu, ani Knapczyński, ani Trapszowie, ani Rapacki, ani Wróblewska, ani Skóraczewski, ani ulubiona Helena Zimajer na sezon zimowy nie powrócą do nas, choć ukochali Poznań i pokornie prosili dyrekcyę o gościnę w teatrze naszym. Dano im dymisyę bez wszelkiego powodu lub przedstawiono kontrakty ubrane takim aparatem klauzul elastycznych i artystycznych nonsensów, że woleli szukać chleba po świecie, niż iść na pastwę dyrektorskich kaprysów i łańcuch najdziwaczniejszych paragrafów. I my pragnęliśmy odświeżenia sił teatralnych, i my niejednokrotnie wyraziliśmy życzenie, by pozbyć się nieużytecznych i odstraszających publiczność nietoperzy, — ale dyrekcya skazała na banicyą wszystko nieomal, co było chlubą sceny lub przynajmniej jako kółko w maszynie funkcyonowało względnie prawidłowo, a ofiarowała gościnę tym w pierwszym rzędzie, którzy budzili niesmak w publiczności i krytyce. Znawcy stosunków opowiadają sobie na mieście, że dyrekcya odznacza się dziwną, prawie niezrozumiałą nienawiścią do wszystkich artystów, cieszących się poparciem prasy (!) i „na przekór" kolegom po piórze zamyka wrota teatralne ulubieńcom — rywali. Ha! niech i tak będzie. Lecz któż na tem straci? Nie prasa, panie Dobrowolski, lecz ten biedny teatr, któremu nie ojcem, lecz ojczymem jesteś.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Nr. 22 Monitora (Lwów) wyszedł i zawiera: Praktyki Targowiczan. — O baszach śniatyńskich. — Chłopi w Brzeskiem. — Z za kulis lwowskiej policyi. — Z poznańskiego zaboru. — Plotki w prasie. — Zapiski. — Nowości literackie. — Ogłoszenia.

* * *

„Rodzina Połanieckich“, Sienkiewicza, ma być przerobioną na scenę. Zajmują się jej układem i uscenizowaniem poeta Kazimierz Przerwa Tetmajer i członek redakcyi „Czasu“ J. K. Ehrenberg.

* * *

W Warszawie ukazała się w przekładzie znanego malarza i estetyka Wojciecha Gersona niemiecka rozprawa Jana Bochenka p. t. „Normalna postać mężczyzny i kobiety wykreślona nowym sposobem“. W pracy tej stara się autor na mocy rozlicznych pomiarów wyszukać najpiękniejszą proporcyę postaci ludzkiej, a wykład jego mimo trudności tematu odznacza się wyjątkową jasnością. Tłomaczenie zaleca się wiernością i czystością języka.

* * *

Stary pedagog. Szkice pedagogiczne. Lwów, 1895, str. 151.

W naszej literaturze pedagogicznej książka ta zajmie niepoślednie miejsce, choć jest zbiorem, mniej więcej, luźnych uwag o wychowaniu i o szkole. Nie szukaj w niej erudycyi, obszernych wywodów, wyczerpujących studyów, autor bowiem nie jest teoretykiem-pisarzem-pedagogiem z zawodu, lecz praktykiem, empirykiem. P. Bronisław Trzaskowski, ukrywający się pod pseudonimem Starego pedagoga, był profesorem, dyrektorem gimnazyum, a wreszcie członkiem rady szkolnej galicyjskiej, miał więc czas przypatrzeć się szkole i wychowaniu. Uwagi swoje drukował w rozmaitych czasopismach, a teraz je razem zebrał. Ztąd jest w nich wielka rozmaitość, ztąd potrąca autor o tyle kwestyi, że w notatce bibliograficznej nie starczy nawet miejsca na ich wymienienie. Postaramy się obszerniej o „Szkicach“ napisać, bo jest w nich wiele zdań i zapatrywań prawdziwie „złotych“.

* * *

„Alpuhara“ po łacinie. P. Grzegorz Saenger, profesor literatury rzymskiej w uniwersytecie warszawskim, przełożył „Alpuharę“ Mickiewicza na język łaciński i przekład swój umieścił w ostatnim zeszycie „Wiadomości Ministerstwa Oświaty“. Przytaczamy tu pierwsze dwie strofy przekładu:

Strata jacent Arabum disiectis oppida tectis,
Ferrea cervices incurrant vincula Mauras;
Arcet adhuc fidis Granata a moenibus hostem,
Sed Granata gemit dira pessumudata labe.

Parva cohors etiam manet Almansoris in armis;
Alpuharranas certans defendere pinnas;
Constituit tamen Hispanus vexilla sub urbe,
Mane novo molem suma ruiturus opum vi.

* * *

Zofijówka. Z powodu upływającej w bieżącym roku stuletniej rocznicy od czasu założenia słynnego humańskiego parku, Zofijówki, owego pomnika namiętnej miłości hr. Feliksa Szczęsnego Potockiego do drugiej żony — p. Iwaszczenko wydał książkę, p. t. „Historyczny rys Humania i Carycyńskiego sadu“ (Zofijówki). W książce tej znajdujemy powtórzone szczegóły romantycznego życia hr. Zofii Potockiej.

Sprowadzona w 1778 r. przez polskiego posła Lasopolskiego z Konstantynopola grecka branka, piękności czarującej, rozwinięta w pełni w 13-tym roku życia, kupiona za 1000 złotych przez syna komendanta Kamieńca podolskiego, majora Józefa Witte, zostaje panią Witte. Wykształcona przez męża, nabywszy ogładę zagranicą, olśniewa wszystkich w Paryżu, w Warszawie, w Petersburgu. Budzi zapały późniejszego króla Ludwika XVIII, jest uwielbianą kochanką Potemkina, przełamuje chłód i dumę hr. Feliksa Potockiego. Ten ostatni zrzeka się dla niej niemal całego majątku na rzecz pierwszej swojej żony, a wymówiwszy sobie tylko stałą pensyę z dochodu, kryje się z panią Witte zagranicą. Po śmierci pierwszej żony, Potocki płaci Wittemu 2 miliony złotych za rozwód jego z Zofią, a pojąwszy ją za żonę, zamieszkuje w Humaniu, gdzie, posłuszny jej kaprysowi, stwarza przy pomocy genialnego inżyniera Metzla, uroczy park Zofijówkę. Sam wszakże umiera wkrótce, zgryziony odkryciem romansowego stosunku żony do syna swego z pierwszego małżeństwa, Jerzego. A Zofia, obudziwszy się wreszcie z szału orgii i wyrwawszy się z objęć pasierba, przez ostatnich 15 lat życia dziełami miłosierdzia pozwala zapomnieć o lekkomyślnej swojej przeszłości. Pamięć zmarłej w 1822 r. hr. Zofii otoczono czcią niezwykłą.

Zofijówka w 1834 r. przeszła pod zarząd ministerstwa dworu, stała się własnością cesarzowej Aleksandry Teodorówny, pod nazwą Carycyńskiego sadu. W roku 1859 sad przeszedł pod zarząd przeniesionej z Odesy do Humania szkoły ogrodnictwa. I dziś, jak ongi, znajduje się on w kwitnącym stanie, pociągającym turystów. Szkoda wszakże, że z czasem wprowadzono tu zmiany, wbrew wysoce artystycznej idei Metzla, pragnącego utrzymać złudzenie natury, i tem popsuto ogólną harmonię.

* * *

„Quo vadis“. Sprawozdawca literackiego „Birż. Wied.“ w jednym z ostatnich numerów poświęca obszerny feljeton ostatniej powieści Sienkiewicza i podaje w przekładzie cały opis uczty Nerona, poprzedzając przekład uwagami ogólnemi i charakterystyką pióra naszego mistrza, którą tu powtarzamy: „Rzadko w jakim utworze można znaleźć porywający temat w połączeniu z taką prostotą i naturalnością, jak w powieści „Quo vadis“. Zacznijmy od stylu, zwięzłego i wymownego zarazem, jak całe to życie, które autor maluje. Zdaje się nieraz, że opowiada nie artysta XIX stulecia, lecz surowy syn swego wicku, dziecko epoki, która wydała Nerona, Tyberjusza, Kaligulę. Nic tu niema szablonowego, ogólno-europejskiego. Gdy na scenie ukazuje się Rzymianin, jest on nietylko w rzymską odziany togę, lecz przemawia prawdziwym językiem Tacyta i Liwiusza. Dumny patrycyusz rozgrzewa się namiętnością, lecz nigdy, w największem nawet uniesieniu, nie użyje wyrazów, któreby zdradzały jego znajomość ze stylem książkowym końca XIX wieku. Klasyczna metresa lubi ozdoby, również jak i córa współczesnego półświatka, lecz nigdy nie przeszarżuje uczucia, co dzieje się tylko w czasach teraźniejszych. Niewolnik jest istotą godną pożałowania, marną, jest wszakże niewolnikiem rzymskim i w niczem nie przypomina pańszczyźnianego chłopa. Odstępca religijny, filozof, namiętny adept nowego wyznania — wszyscy są przedstawicielami swojej epoki, tego wielkiego okresu, gdy chrześciaństwo, wyszedłszy z dziecięcych lat swego życia historycznego, odważnie spoglądało w przyszłość po przez stosy i narzędzia tortury.“

* * *

Antoni Zaleski. O zmarłym świeżo dziennikarzu warszawskim „*Antonim Zaleskim*“ takie wypowiada opinie „Kurjer poranny“:

„Był to dziennikarz polityczny, wielce ruchliwy, a stały w dążeniach. Od samego początku zawodu zaciągnąwszy się do kadr konserwatywnych, wierny im pozostał do śmierci. Można się było z nim nie zgadzać w poglądach ale trzeba mu przyznać konsekwencyę, wytrwałość i czujność. Pragnął po swojemu korzystać z każdej chwili i wnet obmyślał po temu środki, a piórem wnet je popierał. Można zarzucić nieboszczykowi nadmiar ambicyi polityczno-społecznej, ale była ona następstwem temperamentu dziennikarskiego, pragnącego gorąco pracy, a żadnego ujrzenia owoców tej pracy. Nieboszczyk miał dziwną łatwość pióra, a jednocześnie, co jest rzadsze, przytem łatwość słowa“.

„Kraj“ petersburski w biografii zmarłego tak mówi:

Nie była to natura gorączkowo czynna, ani energia w stanie ciągłego napięcia. Na mohortowem siodle byłoby mu również za twardo i.. za nudno. Był to prawdziwy syn „wieku nerwów“, wieku, w którym okoliczności paraliżują lub potęgują wolę. Zabójczo oddziaływała na niego cisza, szarość i mgła. Ale za to każdy świeższy prąd powietrza, każdy uśmiech losu, albo też, odwrotnie, każdy błysk gromu i zasępienie chmur — wyrywały go ze stanu omdlenia i budziły do czynu. Widzieliśmy go parokrotnie w ogniu takiej próby i wynosiliśmy z niej przekonanie, że Antoni Zaleski może w pewnych warunkach odegrać w naszem życiu publicznem rolę wybitną...

KRONIKA POWSZECHNA.

*** Wiadomości społeczne i polityczne** Przyszły prezes ministerstwa austryackiego, hr. Kazimierz Badeni, rozwija energiczne starania w Wiedniu i Galicyi o pozyskanie stosownych współpracowników. — W dniu 26 sierpnia rozpoczął obrady swoje wiec katolicki w Monachium. — Rządowi tureckiemu udało się zapobiedz wybuchowi powstania w Macedonii. Patryoci macedońscy jednak nie dali za wygrane, lecz zamierzają wysłać do dworów europejskich deputacyą, która ma przedłożyć życzenia narodu. — Pisma socyalistyczne wyrażają się z gryzącym przekąsem o jubileuszu zwycięztwa pod Sedanem. Pisma konserwatywne wyrażają wobec tego życzenie, aby rząd zapobiegł w jakikolwiek sposób „bezczeszczeniu wielkich chwil narodu“. — Rząd niemiecki i angielski wysłał do Chin kilka statków wojennych dla przeciwdziałania gwałtom dokonywanym na Europejczykach. — Sprawa ogroblenia Warty zbliża się do celu swojego. Rząd zatwierdził bowiem wreszcie z pewnemi modyfikacyami plany inżyniera Krausego.

*** Zjazdy i kongresy.** Kongres geograficzny, szósty z rzędu, otwarty został w Londynie 26 lipca. — Zjazd leśników galicyjskich odbędzie się w Nadwornie w d. 1 września. — W Bordeaux odbywa się kongres badaczów języków romańskich. — W Pradze Czeskiej odbył się zjazd nauczycieli szkół elementarnych z całego kraju. — Zakończony kongres geograficzny powszechny w Londynie obrał za przyszłe miejsce zgromadzenia Berlin. — W d. 8 września rozpocznie się międzynarodowy kongres rolniczy w Brukseli. — Na odbywającym się w Bordeaux kongresie lekarskim dr. Maragliano zakomunikował o nowej metodzie leczenia suchot. — Doroczne zgromadzenie brytyjskiej Asocyacyi medycznej, liczące 60 sekcyi z 16,000 członków, zgromadziło w Londynie 6000 uczestników. — Zjazd aptekarzy polskich odbył się w Poznaniu w bieżącym tygodniu i zgromadził znaczną liczbę uczestników i uczestniczek.

*** Teatr i muzyka.** Między kandydatami na opróżniony przez śmierć jen. Karandiejewa urząd prezesa teatrów warszawskich wymieniają gubernatora kaliskiego, jen. Petrowa i zmoskwiczonego Polaka, szambelana Bujno. — Obiegają pogłoski w Poznaniu, że oprócz artystów wymienionych w feljetonie dzisiejszym, opuszczają scenę poznańską pani Łaska i pani Jakubowska. Miejsce panny Wróblewskiej zajmie początkująca artystka p. Paszkowska. — Dramat Wł. Rabskiego p. t. „Zwyciężony“ przełożony już został na język czeski i doręczony dyrekcyi praskiego teatru narodowego. Teatr lwowski wprowadza ten dramat na deski w początkach zimowego sezonu. Z teatrem krakowskim i warszawskim toczą się również pertraktacye w sprawie wystawy jeszcze przed końcem bież. roku. — Jeden z warszawskich teatrów przyjął do repertuaru swojego komedyę oryginalną napisaną przez kobietę. Jest to 4-aktowa sztuka p. t. „Na łasce losu“ p. panią Grot-Bączkowską. U nas prócz pani Zofii Mellerowej żadna jeszcze kobieta nie sięgała podobno po laury Moliere'a i Fredry. — Zygmunt Noskowski pracuje nad operą p. t. „Livia Quintilia“. Libretto przerobione zostało z dramatu St. Rzętkowskiego pod tymże tytułem. — Komisya teatralna krakowska odmówiła pozwolenia na podwyższenie ceny na widowiska operowe i takowych na jesień zaniechano. — Laufs wystawił w Berlinie nową krotochwilę p. t. „Der grosse Komet“.

Odpowiedzi Redakcyi.

T. T. Oceniamy pobudki pańskie, ale poruszenie tej sprawy w chwili obecnej nie odniosłoby pożądanego rezulatu. Tu koniecznym jest podkład aktualny i dla tego głos wtedy dopiero zabierzemy, gdy sprawy bieżące nasuną odpowiednią sposobność.

7. 7. 7. Nadesłana nowelka „Marzyciel“ nie przedstawia prócz stylu poprawnego żadnych zalet literackich Radzimy dużo czytać i dużo obserwować, a potem dopiero próbować sił swoich w dziedzinie powieściowej.

Ż. Energiczny ton listu pańskiego jest conajmniej niestosowny. Redaktorowi należy się przynajmniej raz na rok odpoczynek, ztąd zwłoka w odpowiedzi. Nadesłanego artykułu dla braku warunków literackich drukować nie możemy.

O. O. 1) Zamieścimy w jednym z najbliższych numerów. 2) Nazwiska bez pozwolenia autora zdradzić nie możemy. 3) Polecamy utwory Ibsena w zbiorowem wydaniu Reklama, (4 tomy). Odznacza się ono taniością i elegancyą.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Roman Przyborowicz z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.